POEZJE

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

KRAKÓW
Nakładem wydawnictwa „Kraju".

1874.

Czcionkami drukarni „Kraju“ pod zarządem St. Gralichowskiego.

Bałucki Michał

Poezye.

Kraków 1874.

I.

MIŁOSNE DZIEJE.

CYGANKA.

Cyganko moja, w jakiéj teraz stronie
Pędzisz ty życie, oplwane przez ludzi?
Może już ciebie moja pieśń nie zbudzi —
Może gdzie w lesie litościwe dłonie
Grobem bez krzyża przykryły twe ciało...
Lub może teraz z twoją bandą całą
Boso, w łachmanach, lękliwi lecicie,
Żebranym chlebem opędzając życie
Brudne, bez jutra — a na nędzę waszą
I psy szczekają i dzieci nią straszą.
A może teraz ty, jak sarna wolna,
Gonisz wiewiórki po lesie swawolna —
Potém zmęczona pod leszczyny cieniem
Leżysz, duszyczkę kołysząc marzeniem,
I patrząc w liście, co szumią nad tobą,
Wspominasz, jak się bawialiśmy z sobą,

Jak się poznalim. — Pamiętasz poznanie? —
W chmurne, deszczowe lipcowe zaranie
Psów mnie szczekanie obudziło; z trwogą
Wyjrzałem oknem — banda cyganów szła drogą
Prędko, jak gdyby przed swym nędznym losem
Gdzieś uciec chcieli — a urwanym głosem,
Dzikim, gdzie w prośbach przekleństwa się czają,
Żebrali po wsi! — Pomiędzy tą zgrają
Młoda cyganka u wrót naszych stała —
Tuląc się w brudny łachman z zimna drżała,
Wiatr włosy rozwijał, a oczy, co mokną
We łzach, wpatrzyła z prośbą w moje okno.
A gdym jéj przed dom wyniósł chleba kawał,
I przyszedł do niéj i nieśmiało dawał —
To tak się dziwnie cyganeczka mała
Czarnemi na mnie oczyma spojrzała,
Tak mnie urzekła, że cyganie poszli,
I już zginęli wśród leśnych zarośli,
A jam stał jeszcze, jak wrosły do ziemi,
I myśl i oczy leciały za niemi, —
I smutno było tak od tego czasu,
Żem do cyganki musiał iść do lasu. —

I za dni kilka byłem już z cyganką
Niby brat z siostrą; śmiechem, pogadanką,
Zabawą dnie nam mijały na prędce.
Czasem na szyje zarzuciwszy ręce
Szliśmy po lesie, patrząc się radośnie
Na figlujące wiewiórki po sośnie.
Czasem mi z ramion wydarła się ptakiem,
I za leszczyny lub ostrężyn krzakiem
Schowana „ku ku“ kukała ze śmiechem,
Rzucając na mnie to leśnym orzechem,
To jagodami. To znów przyskoczyła
Lekka i zwinna, jak wiewiórka czarna,
I na kolanach mi siadła figlarna
I białe ząbki w uśmiechu suszyła,
Albo śpiewała cygańskie piosenki,
Albo wróżyła przyszłość z mojéj ręki,
Jak to widziała u swéj staréj matki.
A zawsze strojna była w ziela, w kwiatki,
Któremi ciemne ozdabiała ciało —
A czarne oko jak węgiel błyskało; —
Więc cóż dziwnego, że od tego czasu
Wciąż do cyganki chodziłem do lasu. —

Raz po odpuście matki Boskiéj zielnéj
Szedłem do lasu w poranek niedzielny,
Niosąc dla mojéj leśnéj dziwożonki
Sznurek korali i lśniące pierścionki
Na podarunek. — Ona po zwyczaju
Czekała na mnie na okopie gaju.
Gdy mnie ujrzała, wybiegła na pole;
Lecz zamiast śmiechn na miedzianém czole
Był smutek u niéj — w oczach łez tak wiele,
Że w nich utonął mój śmiech i wesele. —
I rzekła do mnie: „Czekam na was panie!
Moi już poszli dziś o wczesném ranie
Do innych lasów — ja jeszcze'm została,
Bom się pożegnać panie z wami chciała".

A gdy ku onéj przyszliśmy polanie,
Gdzie wczoraj jeszcze leżeli cyganie,
A dzisiaj tylko wypalona trawa,
I białych kości kilka; — ona łzawa
Podniosła z ziemi łachmany zebracze —
— „Może was jeszcze kiéj panie zobaczę —
Może niedługo — żegnajcie tymczasem" —

Wzięła kij w rękę i szła smutna lasem,
A jam szedł przy niej i w chłodnym drzew cieniu
Szliśmy, nie patrząc na siebie, w milczeniu. —
I czy to z drzewa zielonego rosa,
Czy to płakała cyganeczka bosa —
Nie wiem, lecz miałem powilżone dłonie.
A gdy ku onéj przybyliśmy stronie,
Gdzie brzózek kilka jest przy Bożéj męce.
Ona mnie wzięła jeszcze raz za ręce —
„Bywajcie zdrowi, ja prędzéj pogonię,
By dognać moich". — A gdzie wy idziecie?
Pytałem z sercem ścieśnioném od bolu. —
„Miły paniczu! cygan — to wiatr w polu —
Nie wie, gdzie idzie i gdzie spocznie w świecie.
Gdzie lasu trochę, a w lesie swoboda,
I psów nie wiele, jałmużna i woda,
Tam jemu dobrze — tam jego mieszkanie
Na dni niewiele. — Bądźcie zdrowi, panie". —
I popędziła w las za swymi czwałem,
I już jéj odtąd więcéj nie widziałem. —

1859 r.

DZIŚ JĄ WIDZIAŁEM.

Dziś ją widziałem: — różowo cała
Ubraną była i nóżka lekka
Z ziemią, jak łódka z wodą, igrała —
To o nią trąci — to z niéj ucieka. —

A przez tiulowe woale czarne,
Jak przez obłoków lekką zasłonę,
Błyszczą oczęta modre, figlarne,
Jakby do śmiechu tylko stworzone.

Po twarzy pływał rumieńczyk mały —
Para dołeczków usteczka zdobi —

W uśmiechu ząbki się pokazały —
Oj, co to dziewczę złego narobi!

Już przeszła — serce bije mi jeszcze,
Radość płomieniem twarz jeszcze pali.
Różowa suknia w uszach szeleszcze —
A serce na nią smutnie się żali. —

1858.

SEN NIE SEN.

Oj śniło mi się dziwnie dziś z rana:
Że mi umarła moja kochana,
Że ją ubraną w białą sukienkę,
Bladą złożono w skromną trumienkę —
Wianek na główce — w rękach krzyż mały —
I cztery siostry klęcząc płakały —
Ojciec i matka — i ludzie tłumnie —
A dziad objaśniał świece przy trumnie. —

A potém księża śpiewając weszli —
Młodzi na cmentarz trumnę ponieśli,
I postawili nad pustym grobem.
Trumnę żegnano zwykłym sposobem:

Każdy paciorek odmówił krótko,
I trumnę ziemi przysypał grudką, —
I poszli wszyscy smutni tą stratą —
I został tylko grabarz z łopatą.

Lecz ja nie mogłem przenieść na sobie,
By ona w zimnym leżała grobie: —
Pobiegłem ziemię odgrzebać miałką,
Wyjąłem z trumny skostniałe ciałko,
I do kapliczki wniósłem cmentarza,
I tam klęknąwszy u stóp ołtarza
Prosiłem z płaczem Niebieską Panią,
By pozwoliła mi umrzeć za nią. —

Potém ją cucić począłem łzami —
Życiem w nią przelał pocałunkami —
Aż otworzyła oczka do śmiechu,
Aż przemówiła słówko po cichu...
Wtém dzwonek na jutrznią słychać z kościoła; —
Ona pobiegła do sióstr wesoła,
A mnie się w oczach zrobiło ciemno,
I grób się nagle zawarł nademną. —

To był sen tylko! — Dziś na spacerze
Widziałem żywą, o zdrowej cerze.
Niedobra przecież — gdy mnie mijała,
Ani się spojrzeć nawet nie chciała.
A jam rannego snu wspomniał wątek —
Jakie to serca u tych dziewczątek!
Ja chciałem chętnie za nią być w trumnie,
A ona spojrzeć nie raczy ku mnie!

1858.

POD OKNEM.

Idę i wracam ciągle tą drogą —
Na jasnych szybach widzę jéj cień —
Wicher i słota, — a mnie tu błogo,
Jabym tak chodził i noc i dzień.

Jakiś cień drugi zasłonił okno...
Zbliżył się ku niéj... o! nic mi, nic;
Tylko mi czegoś oczy tak mokną —
Może to spływa deszcz z moich lic.

O serce moje chore i biedne,
Przestań już o niej marzyć i śnić —
Czemużem sobie wybrał tę jednę,
Co moją nigdy nie może być?! —

1864.

CZEMUŻ JĄ KOCHAM?

Czemuż ją kocham? — od tylu lat,
Odkąd mój spokój oddałem jéj —
Ni jedno słówko, ni jeden kwiat
Nie uwieńczyły miłości méj. —
Nie odpłaciła się, choćby łzą —
I czemuż jeszcze kocham ją? —

Dziś mi mówiono: wkrótce jéj ślub,
I cóż z miłości twéj będzie, cóż? —
Widziałem tego, co u jéj stóp
Klęczał i mówił: ty moją już. —
Kładł jéj na palec obrączkę swą —
Widziałem to — i kocham ją. —

Ani mi zazdrość nie pali krwi,
Ani chcę od niej względów, ni łask:
Tylko w nią patrzeć, jak dziecko w blask,
Czuję, że dobrze byłoby mi. —
Lecz twarz odemnie odwraca swą —
I czemuż jeszcze kocham ją? —

Bo młodość moja i miłość ta
Zrosły się w sercu, jak z liściem liść;
Więc albo serce wyrzucić trza,
Lub z tą miłością do grobu iść.
Ona tak chłodna — i ludzie drwią —
Ja niedbam nic — i kocham ją. —

1865.

MODLITWA.

O moja święta, co z świeżą wiosną
W majowe rano, wśród róż zapachów
Zstąpiłaś ku mnie z niebieskich gmachów,
Byś mi pociechą była żywota,
Byś mi stworzyła niebo na ziemi,
Byś mi świeciła, jak gwiazda złota
Nad przepaściami smutku ciemnemi —
O, święta moja, bądź mi litośną! —

Kiedym miał duszę grzechem splamioną,
I tak skalany sam sobie zbrzydłem; —
To myśl o tobie była mi skrzydłem,
Co mnie wznosiło z kałuży grzechu,

I łzy pokutne mnie obmywały,
Że byłem znowu czysty i biały,
Godny twych spojrzeń, twego uśmiechu —
Święta ty moja, bądź uwielbioną! —

Kiedy troskami dusza ściśnięta
Łzy wyciskała mi pod powieką,
Kiedy życzliwi byli daleko —
Ty mi nadzieją życie złociłaś,
Nie pozwalałaś duszy rozpaczać —
Tyś mnie uczyła cierpieć, przebaczać.
O! bądź mi dobrą, jak dotąd byłaś,
O! nie opuszczaj mnie moja święta! —

1867.

SKARGA.

Miałem ścieżkę majoną kwiatami,
Którą blisko mi do szczęścia było,
Bom widywał się tam z moją miłą,
I cieszyłem się jéj uśmiechami. —

Dzisiaj ciernie zakryły tę drogę —
Oj, nie ciernie, nie chwasty, ni ziela,
Jeno ludzka zawiść nas rozdziela,
I ja do niéj dość więcéj nie mogę. —

Ludzka zawiść i ludzka obmowa —
To pogrzebne szczęściu memu dzwony, —
Czemuż gdy się szczęście to w grób chowa,
Ja żyć muszę — życiem umęczony. —

1867.

POŻEGNANIE.

„Głupie życie — człek się razy tyle
„Wita, żegna, poznaje na chwilę,
„I na wieki potém z oczów traci,
„I tęsknotą za tę chwilę płaci". —

Tak skarżyłem się jednéj nadobnéj,
Gdym ją żegnał na placu San Marka —
Na lagunach czekała mnie barka, —
A jam trzymał się jéj rączki drobnéj
Patrząc na tę, któréj nie zobaczę —
I cieszyło mnie, że ona płacze,
I smuciło mnie, że ją utracę.

Wenecyi rzeźbione pałace
Wieczór w ciemne już zwijał zasłony —
Księżyc wschodził — z wież dzwoniły dzwony —
A my jak za pogrzebem powoli
Ręka w rękę szliśmy do gondoli.

Gdy już miałem odjeżdżać na statek,
Ona z czarnych włosów wzięła różę,
I rzucała mi na pierś ten kwiatek,
I zakryła płacząc oczy duże. —

Szybko sunie gondola po fali,
Jak jaskółka, gdy niebo się chmurzy, —
Wenecyja — ona — coraz dalej —
Aż zniknęło wszystko — oprócz róży. —

— Gdyby można, co w życiu nas znęci,
Zerwać sobie, jak tę różę cudną,
I zasuszyć w sercu dla pamięci —
Gdyby można... ach! ale to trudno. —

Gdyby było choć w mocy człowieka
Stracić z serca, co z oczów ucieka,

I zapomnieć o tém, co nie wróci —
I to trudno — ach! jakże to smuci.

— „Było — nie ma“ — jak straszne te słowa,
Jakie od nich zimno wieje trupie — — —
Po za niemi jak przepaść grobowa
Słowo „nigdy“. — Jak to życie głupie!

1860.

NA DOBRANOC.

Uśnij mi, uśnij smutkiem zmęczona —
Ja ci podścielę do snu ramiona,
I dum, jak puchu do snu podścielę —
Śpij mój aniele! —

Śpij mój aniele! — W polu się chmurzy;
Lecz ty śpiąc słyszeć nie będziesz burzy, —
A gdy się zbudzisz, będzie wesele —
Śpij mój aniele!

Więc kiedy ranek błyśnie na niebie,
I szczęście wznijdzie — to zbudzę ciebie —
W usta całując szepnę nieśmiele:
Wstań mój aniele! —

1862.

PORANEK.

Był poranek cudowny, uroczy —
Słonko z deszczu przetarło swe oczy,
I promieńmi złotemi, drżącemi
Do zbudzonéj uśmiecha się ziemi,

W taki ranek z jednego okienka
Jasnowłosa wyjrzała panienka,
I skinęła mi przyjaźnie główką,
I rzekła na dzieńdobry słówko. —

A mnie było w duszy w one rano
Od spojrzenia tego tak świetlano,
Że choć potém za te szczęścia chwilę
Zapłaciło męką serce biedne —
To przecierpiałbym raz jeszcze tyle,
By mieć jeszcze taką chwilkę jednę. —

1869.

WESTCHNIENIE.

Czy ja zobaczę cię jeszcze na ziemi
Aniołku z włoskami jasnemi,
Jakem cię widział w majowy ranek
Bieluchną z poza białych firanek.
Rumieńczyk, jak różowy obłoczek,
Pod rzęsami twych błękitnych oczek
Drżał wstydliwy — a wzrok twój nieśmiały
Za negliżyk wstydził się za biały.
A cieplutka ze snu rączka mała
Na dzieńdobry uściskiem witała.....

Krótka była tego szczęścia chwila;
Jednak przez burz i przez smutków tyla

Świeci ciągle jak gwiazdka w pomroku.
Patrzę na nią z łzą radości w oku,
I pytam jéj cichy i nieśmiały:
Czy cię ujrzę, mój aniołku biały?! —

1869.

NIE WESOŁY KRAKOWIAK.

Znałem ci ja jednę, jednę jasnowłosą,
Co miała oczęta kradzione niebiosom,
I temi oczami, oczami cudnemi
Ciągnęła mi duszę do nieba od ziemi. —
A miała twarzyczkę, że na onéj twarzy
Czytałeś, jak w książce, co się duszy marzy,
I przyznam się cicho, chociaż to nieskromnie,
Że mi się zdawało, że marzyła o mnie. —
I było mi dobrze i było tak błogo,
Że anieli w niebie lepiéj mieć nie mogą. —

I trzebaż mi było rzucać szczęście ono,
I zamieniać spokój na burzę szaloną?

Oddać serce całe téj, co serca nie ma
Jeno umie nerwy łaskotać oczyma,
I krew ogniem burzyć i wichrzyć w rozumie,
Wszystko, wszystko umie; lecz kochać nie umie.
I dla téj wietrznicy zalotnéj i zimnéj,
Jam się wyrzekł mojéj gołąbki niewinnéj,
I cichych z nią rozmów przed dworkiem na ławie,
Spacerów w ogródku i jazdy po stawie. —
Więc znowu do dworku, do stawu, i płota,
I do méj gołąbki ciągnęła tęsknota.
Więc tę, co mi serce zmęczyła tak srodze
Bez przekleństw i żalu'm porzucił na drodze,
I do méj gołąbki wróciłem nieśmiele —
I dobrze trafiłem, — na samo wesele. —

1869.

W KOŚCIELE.

W cichym, prawie bezludnym kościele
Ksiądz mszę czyta za tych, co śpią w grobie;—
Ja, com lat się nie modlił tak wiele,
Do pacierzam złożył ręce obie.

Za umarłą łzy mi płyną skrycie,
Której anim widział, ani znałem,
Ach, bo ta nieznana dała życie
Téj, co dla mnie była życiem całém. —

Więc jak matkę ukochałem własną,
I w snach nieraz męczących, w noc ciemną
Widywałem ją łagodną, jasną,
Jako brzozę schyloną nademną. —

A ja ręce jéj całując białe
Skarżyłem się na tę, co jak skała,
Zdruzgotawszy serce moje całe,
W zamian nawet litości nie dała. —

I pytałem się umarłéj cienia,
Czemu, dając światu taką cudną,
Stworzyła ją, jak posąg z kamienia,
W którym serca się dopatrzeć trudno. —

Wtedy ona palec mi na usta
Kładąc z cicha do ucha szeleszcze:
„Bluźnisz dziecku memu — pierś nie pusta,
Jest w niéj serce; lecz serce — śpi jeszcze“.

O szczęśliwy, dla którego z ludzi
To serduszko ze snu się obudzi,
Komu usta te dziś drwiące w śmiechu
Kiedyś „kocham„ wyszepną po cichu.

Jeżeli wtedy z bólu serce moje
Pękać będzie, jak ziemia w upały. —

To przyjdź do mnie zmarłej duchu biały,
Złóż na mokrych oczach dłonie swoje,
I zamknij je na sen — na ten wieczny,
W którym człowiek od cierpień bezpieczny.

1871.

ODPOWIEDŹ.

Czyż mogłem cię zapomnieć? — Pamiętasz Heleniu
Ten wieczór i ten ogród, gdy w balowym stroju
Przybiegłaś do mnie z cicha i na mém ramieniu
Kładąc rękę, zbudziłać z smutnego spokoju.

Mówiłaś, że nie tańczę, żem tak sposępniały —
Jam odrzekł: że mi smutno, bom tak sam na świecie;
Wtedy uszczknęłaś z krzaku kwiat jaźminu biały,
I dając mi go rzekłaś: teraz nie sam przecie. —

Wtedy księżyc pamiętam wyjrzał z za obłoku,
I oświecił twarz twoją i ten dla mnie datek,
I widziałem łzę srebrną, co ci drżała w oku;
Czyż cię mogłem zapomnieć za tę łzę, ten kwiatek?

A choć kwiat potém uschnął, jam go łzami świeżył,
Choć potém byłaś zimną, jam jeszcze w łzę wierzył,
I nie mogę zapomnieć cię do dni ostatka
Dla téj łezki błyszczącéj i dla tego kwiatka.

1869.

W TĘSKNOCIE.

Pogoda niebem — jasno na ziemi;
Ale w méj duszy chmurno tak —
Za domem moim, za braćmi memi
Dusza do lotu niby ptak. —

Chmurką po niebie, wiatrem po ziemi —
Och! gdyby lecieć, lecieć mi —
Chwilkę popatrzeć, pogadać z temi,
O których dusza wiecznie śni. —

Tam tak wesoło szumiało życie,
Tu taka cisza w koło mnie —

I sam, samiutki, jak ptak o świcie —
O! takiéj ciszy nie chcę, nie. —

Chmurką po niebie, wiatrem po ziemi —
Och gdyby można lecieć mi —
I choć przez chwilkę widzieć się z temi,
O których dusza wiecznie śni. —

1862 r.

DO POSĄGOWÉJ.

O moja dobra, moja nadobna,
Możem ja zmartwił cię mimo chcenia,
Kiedym ci mówił, żeś ty podobna
Greckim posągom z kamienia? —

Ale nie mogłem mówić inaczéj,
Gdym się zapatrzył na rysy one,
Jakby antykom greckim kradzione,
A zimne — żem był bliski rozpaczy.
I jak poganin jaki klęczałem
Przed tym posągiem milczącym, białym.

Dopiero kiedyś prośbą wzruszona,
Gdyś z pedestału w moje ramiona

Zstąpiła z całą twych czarów siłą —
Czułem, że serce w posągu było. —
I nie poganin już — kochać muszę
Bardziej niż posąg, posągu duszę,
I nie bożyszczem z kamiennem czołem
Jesteś mi więcéj, ale aniołem. —

1862.

CISZA.

Ty mnie dziś o pieśń prosisz? — O! kochana!
Są chwile, w których ból pieśni pokruszy,
I cisza ciężka, parna, ołowiana
Siędzie na piersi; — myśl wtedy bez duszy,
Jak kwiat powiędły, w ziemię chyli głowę —
I pieśnią wtedy milczenie grobowe.
Dusza, jak zgniłe bagno w miejscu stoi,
I śpiewać, myśleć i modlić się boi. —

1869.

JASMIN.

Biały jaśmin zapachniał w ogrodzie —
Wy pytacie, czemum zbladł na twarzy? —
Dusza drży mi, jak światło na wodzie,
I o dawnych czasach drżąca marzy....

W jednej wiosce była panna młoda —
Ciemne oczy, a w oczach pogoda,
I twarz miała tak bledziutką, białą,
Jak konwalija, co drży po nad skałą.
A tak cicha i dobra, jak mało,
A niewinna tak, że się zdawało,

Że stróż-anioł skrzydłami drżącemi
Wciąż ją w niebo unosił od ziemi. —
A chodziła ubrana bielutko,
I lubiła o słońca zachodzie
Pod jaśminem siadywać w ogrodzie
Na kamiennéj ławeczce z robótką.
I jam lubił wśród takiéj godziny
Z mego okna patrzeć na jaśminy,
Patrzeć na nią taką czystą, białą,
I patrzenie mi za pacierz stało.

Ale krótko było szczęścia tego,
Bo nim z dworu'm wyjechał onego,
Ona panna umarła za młodu. —
W wielkiej sali, pomnę, od ogrodu,
Tam leżała, jako zawsze biała,
I jaśminy naokoło miała.
A twarz martwa, w ciemny włos osnuta,
Była jakby z alabastrów kuta. —
Dwa dni całe przy jéj trumnie stałem,
Na jaśminy i na nią patrzałem.
Aż gdy mi ją z przed oczów zabrano,

Gdy mi brakło anioła na ziemi,
Pod jaśminy chodziłem co rano,
I płakałem za nią razem z niemi. —
Odtąd czuję ją w jaśminów woni,
I ze smutkiem myślę wtedy o niéj. —

1861.

NA PRZEBŁAGANIE.

Odkąd jednegom obraził z aniołów,
Odleciał spokój precz,
I smutek piersi gniecie, jak ołów,
I wyrzut kole, jak miecz.

Głowę ku ziemi pochylam biedną,
Nie śmiem ci spojrzeć w twarz;
Lecz mnie posłuchaj choć chwilkę jedną,
Jeżeli litość masz. —

Był człowiek, co miał ptaszynę cudną,
Cudownie piękną miał,

I tak ją kochał, że bardziej trudno,
Życieby za nią dał. —

Raz kiedy pieścił onę jedyną,
I z nią rozmowy wiódł.
Strzał pierś mu zranił i on ptaszynę
Z bólu w swych rękach zgniótł. —

Zapytaj luba o to twe serce
Winnymże on był, czy nie?
Czy trzeba karać tego mordercę — ?
A wtedy — ukarz mnie. —

1869.

W GROBOWCU.

Nad mą minioną przeszłością grób stoi —
I Anioł biały niewinności mojéj
Śpi u grobowca, a dawne wspomnienia,
Jak lampy palą się wśród grobów cienia. —
I nikt, nikt z ludzi ciemnéj tajemnicy
Grobu nie ujrzy — oprócz ciebie jednéj,
Coś trochę szczęścia dała duszy biednéj.
Podaj mi rękę — po schodach ciemnicy
Idźmy przez pleśnie i przez nić pajęczą;
A jeżli w drodze pod nogą zajęczą,
Zasyczą dawne grzechy, jako gady —
To nie odwracaj wtedy twarzy bladéj;

Lecz pocieszając tul w białe ramiona,
Aż syk, twym głosem przydeptany, skona. —
A potém usiądź i słuchaj, jak w skrusze
Otworzą tobie zardzewiałą duszę,
I grzech mój każdy do nóg ci się rzuci. —
A gdy się blada twoja twarz odwróci,
I da pogardę zamiast rozgrzeszenia —
To zamknę znowu méj duszy sklepienia,
I myśl o szczęściu milcząc zamknę w sobie,
I „requiescat“ napiszę na grobie.

1862.

CHWILKA SZCZĘŚCIA.

Ha! poszli wreszcie! — Z drżącém serca biciem
U nóg twych siadam, — znów jesteśmy sami! —
O, jak mi dobrze pod twych rąk nakryciem
Położyć głowę zmęczoną troskami. —

Burzą zazdrości piersi moje wzdęte
Już opadają, — pogoda po burzy —
Nademną oczy twoje uśmiechnięte —
O! takim wzrokiem patrz, patrz jak najdłużéj....

Ja się twych spojrzeń czepiam, mój aniele,
Jak majtek liny nad przepaścią ciemną —
Jakże mnie dziwny przeszedł dreszcz po ciele —
O panie Boże, zmiłuj się nademną!

Przyszło mi na myśl, nuż mój anioł wstanie,
Naraz odepchnie mnie i powie: „dosyć!“ —
A ja nie będę umiał żebrać, prosić —
I wargi zatnę i spadnę w otchłanie.

Ileż szamotań i męki trza będzie
Przecierpieć wtedy, — zanim dusza sobie
Znów odrobinę spokoju zdobędzie —
Spokoju głazów, co stoją na grobie!

Lecz po co myślą grzęść w przyszłej mogile —
Lepiej kwiatami zakryć przepaść ciemną....
Daj mi raz jeszcze rękę, co za chwilę
Może nie będzie moją — i nie zemną.

1865.

TYLKO WSPOMNIENIE.

Kiedy mam duszę smutną, jak w żałobie,
Kiedy mi tęschno bez ciebie i nudno, —
To idę wtedy gdzie w ustroń odludną,
Na mokrych oczach kładę dłonie obie,
I przypominam urok każdéj chwili,
Kiedyśmy razem jeszcze z sobą byli.

I najprzód widzę cię pod świerków cieniem
O szarym zmroku, kiedym się nieśmiele
Pierwszy raz rączki twéj dotykał z drżeniem,
I nic nie mówiąc — mówiłem tak wiele.

Od onéj chwili myśli i źrenice
Poszły za tobą, jak dwie niewolnice,
Lub jak cień wierny, co idzie za człekiem, —
I dzień bez ciebie wydawał się wiekiem.

4

Pamiętam — nieraz tęschnotą trapiony
Wieczór skradałem się pod twe okienko,
I tam, liściami róży zasłoniony,
Patrzałem, jak ty, wsparłszy główkę ręką,
Siedziałaś sama w dumaniu głębokiem —
O czém ty wtedy dumałaś i o kim? —

Potém szłaś w pokój, gdzie twoje posłanie —
Jam nie odchodził patrząc, czy nie zoczę
Przez uchylone nieco drzwi — na ścianie
Choć cień twych rączek pletących warkocze.

Jakież w tych chwilach uroki, rozkosze....
Jak relikwije wszystkie w piersiach noszę,
Jak skarby chowam każdą chwilkę małą,
Bo prócz tych wspomnień nic mi nie zostało.

Powiędły dawno kwiaty w waszym dworze,
Co się naszemu szczęściu przyglądały —
Drzewa i ścieżki śnieg zasypał biały —
Wszystko się zmieni — i twe serce może —
Jakże mi smutno i ciężko — o Boże! —

1865.

DZIEWCZĘCE CZARY.

Oj dziewczyno z czarnemi oczyma
Czemuś spokój mi mój zamąciła?
Nad mém sercem była już mogiła —
Kwiaty śniegiem przysypała zima —
Zdawało się, że tak już zostanie,
Że bez pragnień, złudzeń i nadziei
Przejdę resztę téj życia kolei,
Aż w grobowe upadnę posłanie,...
I ziewając pod ziemi nakryciem
Rozstanę się z tém, co zowią życiem. —

Aż tu przyszło dziewczę w nasze strony —
Jedno dziewczę z oczami czarnemi,

I wiośniano mi znowu na ziemi,
Wielkanocne w sercu biją dzwony,
Ręka wiersze popełniać zaczyna,
Z słowikami bezsenną noc trawię,
I przecudne sny miewam na jawie....
I to jedna zrobiła dziewczyna,
A zrobiła żadnemi czarami,
Lecz czarnemi zrobiła oczami. —

Oj dziewczyno! I trzebaż ci było
Niepokoić grób serca spojrzeniem? —
Ono teraz upiorem i cieniem
Pójdzie wszędzie za twych spojrzeń siłą.
A może cię natrętne unudzi —
Obojętność twa może mi każe
Po raz drugi wracać na cmentarze —
Ta myśl trwogę w sercu mojém budzi,
Że mi przyjdzie za twoją przyczyną
Po raz drugi umierać dziewczyno. —

1868.

PROŚBA.

Miałem cię pani za stworzenie szczodre,
Szczodre w dobroci, słowach i spojrzeniu, —
A ty tak skąpa, że twe oczy modre
Ciągle ukryte trzymasz w rzęsów cieniu,
I rzadkiem słówkiem obdarzasz człowieka,
Co na nie, jakby na zbawienie czeka. —

O! niech twe oczy, jak gołębie płoche,
Nie uciekają tak zawsze przedemną,
Niech się nademną ulitują trochę,
Bo bez nich źle mi i smutno i ciemno.
I rozdrażniona dusza ludzi rani
Brzydkiem szyderstwem — a to z bólu Pani! —

Więc bądź łaskawszą... chyba, że kto inny....
O! wtedy chłodną bądź i bez litości,
I bez skrupułu. — Jam tu jeden winny,
Że śmiałem marzyć o twojéj miłości. —
Bądź wtedy lodem; — może ta szalona
Nadzieja — w łodach tych zmarznie i skona. —

1871.

W IMIONNIKU J. M.

Odjeżdżającéj kwiat rzucam pod nogi,
I kilka słów tych pożegnania ścielę. —
Radbym i kwiatów i słów mieć tak wiele,
By ci do domu zagrodziły drogi
I zatrzymały przy nas. — Chęć ta zdrożna
Chmurkę wywoła może na twém czole; —
Więc chęć na skromną prośbę zmienić wolę;
Byś pamiętała o nas, jeśli można. —

1871.

W IMIONNIKU S. M.

Nie wiem czyś pomyślała kiedy, jak podobne
Do kartek albumowych kamienie nagrobne?
I tu i tam nicości strach, życia pragnienie
Woła o ludzką pamięć i westchnienie,
Jak żebrak o jałmużnę i choćby w albumie
Chce uwiecznić swe imię, gdy w sercu nie umie.

Ja — może trochę z dumy na te kartki blade
Ni prośby, ni nazwiska mojego nie kładę —
Smutny jeśli zapomnisz, wdzięczny, gdy spamiętasz
Bezimienny i niemy idę na ten cmentarz.

1871.

II

SCHERZO.

ŚLUB.

(Ballada studencka.)

W maryackim, poważnym kościele
Ślubna para przed ołatarzem klęczy —
W koło gości postrojonych wiele.
Pannę młodą wianek z mirtu wieńczy,
Ona w ziemię patrzy się modląca —
Cudne lica to bledną, to płoną,
Białe ciałko pod lekką osłoną
Drży, jak puchy, gdy o nią wiatr trąca.

Nic dziwnego, że panna tak trwożna,
Że tak płonie i taka nabożna,
Bo to pierwszy raz jéj się wydarza,
Że do ślubu klęka u ołtarza. —

Lecz pan młody — ten innym był wcale —
On łańcuszkiem bawił się niedbale,
I był sobie z taką miną prawie,
Jakby w domu i przy czarnej kawie.
Wąsik muskał i patrzał się drwiąco
Na dwie drużki, co przy nim klęczały,
I o mężów wzdychały gorąco,
I o prędkim swym ślubie myślały.
Goście sobie szeptali coś skrycie —
Tak czekano na księdza przybycie. —

A za gośćmi onemi na boku
Jakiś młodzian stał z rozpaczą w oku,
Z rozczochranym włosem, bladej twarzy —
Patrzał dziko na stopnie ołtarzy —
A pod pachą pod płaszcza fałdami
Coś namiętnie przyciskał rękami....
Czy pistolet czy głownię sztyleta? —
Nie — to były książki i kajeta,
Bo wam krótko tę sprawę objaśnię,

Że młodzieniec szedł do szkoły właśnie,
I przeczuciem, czy trafem zagnany
Wszedł i trafił na śluby swej kochanéj. —

O miłości tej opowiem wiernie:
Panicz ciotkę miał, ciotunia głucha;
Ale dobra, poczciwa starucha,
I kuzynka kochała niezmiernie;
Więc kuzynek korzystał z dobroci,
I co lato przyjeżdżał do cioci.
I zdarzyło się w tę porę samą,
Że ta panna, co dziś u ołtarza
Tak nieśmiało przysięgę powtarza,
Przyjechała tam także z swą mamą;
Ale wtedy młodsza była wiele. —

Panicz patrzał na pannę nieśmiele,
I panienka na niego ukradkiem —
Aże się raz spotkali przypadkiem
Przy malinach... i rumiani cali
Długo, długo ze sobą gadali. —

Odtąd panicz ciągle był przy pannie:
To jéj książki czytywał w altannie,
To ją woził na łódce po wodzie,
To z nią kwiatki podlewał w ogrodzie.
A panienka młoda jemu za to
Słówka, oczka rzucała zapłatą:
To siadała znów przy fortepjanie
Dumki grała — a on patrzał na nią,
Jakby ją chciał zjeść oczami swemi,
I robiło mu się niebo z ziemi. —

Ale stało się raz w piękne rano,
Że panicza do szkół odesłano,
I z panienką wyjechała matka,
I tak koniec był temu kochaniu. —

Potém panna rosła coraz w latka,...
Aż się stała panną na wydaniu.
I starał się o nią jeden młody,
Co miał rozum, bródkę i dochody —
To chybaby dziwną panna była,
Gdyby takiem szczęściem pogardziła. —

Ale panicz nie zmądrzał tak skoro,
Jak panienka. I w szkole i w domu
Wciąż do panny wzdychał pokryjomu,
I pisywał o niéj wierszy sporo. —

I dziś — patrzcie — blady, łzy ma w oku —
Tak mu było równie raz przed laty,
Kiedy wracał po skończonym roku
Bez promocyi ze szkoły — do taty!...

Ślub się skończył — zagrały organy,
Zaszumiały znów jedwabne stroje —
Wyszli goście i małżonków dwoje,
I już panicz pozbył się kochanéj...
Już jéj może więcéj nie zobaczy...
Odjechały pojazdy z turkotem,
Panicz westchnął rozpacznie, a potem
Już do szkoły nie chciał iść — z rozpaczy;
Ale poszedł nad Wisły strumienie,
A złe myśli szły za nim, jak cienie....

A na drugi dzień młodzieńca ciało
Znaleziono rankiem, jak leżało...
Snem ujęte na miękiej pościeli. —
Chciał wprawdzie wczoraj do topieli
Rzucić, skończyć nędzny żywot; ale
Na nieszczęście pływał doskonale. —

Więc ten zamiar wybił sobie z głowy,
Tylko cały dzień się w polach włóczył,
Sam ze sobą dzikie wiodąc mowy;
Aż, gdy mu już głód dobrze dokuczył,
Późną nocą do domu powrócił,
Zjadł wieczerzę i w łóżko się rzucił. —

O! nie budźcie mi proszę młodziana!
Niech śpi, choćby do drugiego rana —
Wszak powiedział jeden śpiewak w pieśni:
Tyle tylko szczęścia, co człek prześni. —

1862 r.

SEN O RÓŻY.

Uschnięta róża na listek podarty
Schyliła główkę; — i listek i ona,
Jak dwoje młodych, co z miłości skona,
W ramiona sobie, niby w grób otwarty
Padłszy — leżały, a mnie smutno było
Pochylonemu nad kwiatków mogiłą,
I rozstroiła mi nerwy sielanka,
I żałowałem, że jednego ranka
Zerwaniem taką śmierć róży zadałem,
Gdy album lubéj ustroić w nią chciałem. —

A noc już była, gdym tak patrzał w różę —
Gwiazdy mrugały na ciemnym lazurze —
Gwiazdy — ja lubię gwiazdy porą nocną —
Patrzałem w gwiazdy — i — zasnąłem mocno.

I śniło mi się, że z pościeli białej
Papieru zeschłe róży listki wstały
W kształtach kobiecych: smutne miała lice,
I siadła przy mnie, w ucho tajemnice
Szepcąc mi swoje, grożąc ręką białą —
A zimno grobów od niewiasty wiało.

„Słuchaj — mówiła — dawniej w każde rano,
Gdym się ocknęła z snu, — kwiatów tysiące
Ze czcią przedemną zginało kolano,
Bo się kochały we mnie; lecz mnie słońce
Kochankiem było; gdy miał wschodzić rano,
Jam się budziła wczas, by nie ubraną
Nie pocałował promieniem gorącym. —
Z wstydu, z miłości płonęłam przed słońcem.
Kiedy przez drzewa ogrodu się skradał
I o płomiennej miłości mi gadał. —
I była wtedy dla mnie radość, wiosna! —
A gdy odchodził, ja byłam zazdrosna,
I wtedy rosa, moja siostra cicha,
Pociechę lała do mego kielicha.

A tyś podmówion przez jaśminy białe,
Przyszedł i podarł moje szczęście całe;
Więc mściwa za to, na mą boleść czuła,
Rzucę twe serce pod nogi kobiecie,
Co będzie piękną jako róża w lecie,
Ale jak róża będzie ciebie kłuła.“ —

Tu się zbudziłem. — Za oknem, w ogrodzie
Moja panienka chodziła po chłodzie
Zrywając kwiatki i głośno śpiewała.
Oj prawdę'ś — rzekłem — różo powiedziała,
Że ta różyczka ma i cierni dużo;
Lecz, co tam ciernie, gdy mi dobrze z różą.

1864.

GRZECH PIERWORODNY.

Raz w lipcowym poranku uroczym
Zamyślony — nie pamiętam o czém —
Szedłem ścieżką nad błękitną Wisłą. —
Wtem z za drzewek coś białego błysło....

Patrzę — patrzę — a to trzy panienki — —
Jedna była na murawie miękiej,
A dwie inne w wodzie się bawiły, —
I w koszulkach białych wszystkie były.

Pluszczą na się wodą i chichoczą, —
A kropelki wody im migocą

Nad główkami w słońcu jaśniejące,
Niby białych brylantków tysiące.

Zczarowany nieruchomo stoję....
Zdało mi się, że aniołków troje
Rankiem w jasnym kąpie się błękicie,
Niby białe obłoczki o świcie. —

Bo gdy która z nich rączkę podniosła —
To pod rączką fala wody rosła,
Niby skrzydła anioła powiewnie; —
Więc myślałem — to aniołki pewnie, —
I stanąłem naprzód cały zgięty,
I gapiłem się jak w obraz święty. —

A wtém jakaś pani brzydka taka
Jak wypadnie na mnie z poza krzaka,
I nuż besztać i nuż grozić ręką: —
„A smarkaczu do książki, kajetu, —
„A do szkoły mi zaraz, a nie tu
„Przypatrywać się w wodzie panienkom,

I jak anioł praojca Adama
Tak mnie z raju wygnała ta dama,
I z jéj łaski zmądrzałem bez szkoły,
Żem już panien nie brał za anioły.

1858.

COŚ NIBY MIŁOŚĆ.

Chcesz wierszyka? — i o czém?
O tém — zawsze uroczém —
O miłości zaśpiewać ci muszę.
Ty mnie słuchaj dzieweczko,
I z batystu chusteczką
Łzy ocieraj, jeżeli cię wzruszę. —

Było dwoje: on — ona —
Nie mąż, ani nie żona —
A przymknięte w pokoju drzwi były. —
Ona — lekka i płocha,

On — na tego, co kocha
Za poważny i nieco otyły. —

Był wzruszony, a przy tém
Patrzał na nią z zachwytem,
Jak w anielskie urocze widziadła, —
Czekał długie godziny
Na spojrzenie dziewczyny
Aż spojrzała raz — ale w zwierciadła —

Potém drżący, nieśmiały
Dotknął rączki jéj małéj —
Pocałować chciał rączkę w pokorze;
Lecz ję szybko cofnęła,
I zdąsana szepnęła:
„Co pan robisz? — zobaczyć kto może“. —

Więc się musiał zrzec ręki;
Ale prosił panienki,
By choć rzekła: czy kocha go ona?
Czekał drżący słóweczka — —

Aż otwarła usteczka;
Lecz otwarła, — by ziewnąć znudzona. —

Więc się zerwał ze stołka,
I pożegnał aniołka,
I pożegnał na zawsze bez mała.
Że odchodził tak gniewnie,
Miałby burę zapewnie,
Gdyby nie to — że panna już spała. —

I tak cicho, cichutko
Romans skończył się krótko
Bez wymówek, bez skarg i bez listów.
Cóż? — nie płaczesz? — O! pani!
Choć dla niego, nie dla niej
Przetrzéj oczy chusteczką z batystów.

1872.

TRZPIOTKA.

Przed zwierciadłem dziewczę stoi —
W kapelusik główkę stroi —
Oczka mruży, włos układa
I śmieje się — z siebie rada. —

Bo w zwierciedle druga róża
Włoski głaszcze, oczka zmruża,
Drugie widać czółko białe,
I w uśmiechu ząbki małe. —

To odbiegnie — to przybieży —
Kapelusik źle jej leży —

I kokardka jakoś krzywo,
Więc poprawić trzeba żywo. —

Już odeszła — wzięła mufkę —
Jeszcze w lustro zwraca główkę,
I jak ptaszek po nad wodą —
Tak się pieści z swą urodą. —

Potém poszła ukłonami
Darzyć młodych i oczkami
Połaskotać serca młode,
Co się gapią w jéj urodę. —

Bo też gapić się w nią godna, —
Jak aniołek, tak urodna,
Jak chabinka — taka wiotka,
A jak rybka — taka trzpiotka. —

A gdy czasem się zadąsa,
Lub zasmuci, lub jéj nudno,
Główkę zwiesi lub nią wstrząsa —
To napatrzyć się jéj trudno. —

Ej, nie powiem wam już dalej —
W młodych sercach krew nie woda,
Wyście młodzi — ona młoda —
Tobyście się zakochali.

1859.

GAWĘDKA.

—„Budzę pana„ — w kolorze?
—„No, w różowym“. — O Boże!
Kocham, zanadto może. —

„Pan żałuje, że kocha?
„Pan smutny?— cóż takiego?
„Rozśmiéj się pan choć trocha,
„I mów co wesołogo,
„Bo ja mruków nie znoszę. —
„No, mów pan co, ja proszę.“ —
— Był król, co miał trzy córki:
Manię, Franię i Hanię,

Dał im pereł trzy sznurki — —
— „Fe, to niegrzecznie, panie, —
„Pan za dziecko mnie bierze —
Jam się zgniewać gotowa,
„Nie przemówię ni słowa,
„Jak mamę kocham szczerze.“ —
— Więc cóż mówić mam? czyli...
— „Chcę byś mi powiedział,
„Coś pan myślał w téj chwili,
Gdyś tutaj jak mruk siedział?“ —
— Com ja myślał? — myślałem:
Gdybym więcéj był śmiałym
To po świecie bym całym
Chodził między panienki,
I szukałbym sukienki,
W jakiéj panią poznałem,
I szukałbym uroczéj,
Coby miała twe oczy.
I uśmiechy te twoje,
I dołeczków tych dwoje,
Co do buzi tak nęcą,
Twą figlarność dziecięcą,

I twą w mowie szczerotę,
I serduszko twe złote; —
A gdybym taką cudną
Między ludźmi gdzie znalazł —
Powiedziałbym jéj zaraz,
Że mi bez niéj żyć trudno,
Że jeżeli się zgodzi — —
„Wstań pan, mama nadchodzi:." —

1861

NIE W PORĘ.

Raz byłem u niéj — z kotkiem na ręce
Siedziała w oknie, w białéj sukience,
I paluszkami draźniła kotka
Pieszczotka. —
W około twarzy dziewczęcia białéj,
Zarumienionéj, loczki się chwiały,
I uśmiechały się oczka czarne
Figlarne. —
Siedzę — i czekam godzinę całą,
By dziewczę z kotkiem igrać przestało,
I pogadało kilka słów ze mną, —
Daremno! —

Ani mnie widzi, ani mnie słyszy; —
Kotek jéj rączki chwyta jak myszy,
Czasem zadrapie, — ona to woli,
Choć boli. —
Więc rzekłem sobie: jeszcze zawcześnie
Pukać w serduszko, co leży we śnie,
I unikałem dzieweczki białéj
Rok cały. —
Kiedym powrócił — znów w tym pokoju,
Przy tém okienku pełném powoju,
Bluszczów — siedziała moja pieszczotka
Bez kotka. —
Lecz czegoś dziwnie zmieszaną była,
Oczy ku ziemi wstydnie spuściła,
I zrumieniła się jak jabłuszka,
Po uszka. —
Byłem pewniutki, że z méj przyczyny, —
Wtém wiatr firanek ruszył muśliny,
I zobaczyłem sprawcę rumieńca
Młodzieńca!
I znów panienka, jako przed rokiem,
Choć siedzę, czekam, nie rzuci okiem;

Lecz już nie kotek tym razem winny, —
Kto inny.
Kto inny śpiące zbudził serduszko,
I szepta teraz miłośnie w uszko. —
Ha, szkoda! Późno przyszedłem trocha —
Już kocha!

1868.

W DZIEŃ IMIENIN.

(DO Z. L.)

Pamiętasz pani te chwile urocze,
Kiedy ci jeszcze mówiono: panienko,
Gdyś jasne włosy splatała w warkocze,
A nóżki krótką zakryte sukienką,
Równie jak myśli, co dziecinne były,
Jeszcze się ludzkich oczów nie wstydziły.? —

Pamiętasz wtedy, jak raz po spacerze
Wróciłaś — w kwiaty mając strojne czoło —
I z myśli swych się spowiadałaś szczerze:
Jak się bawiłaś rozkosznie, wesoło —
„I tylko — rzekłaś — do naszego grona
„Brakowało nam pana i Nerona.“

Wtedy co życzyć wiedziałem, bo twoje
Życzenia ludzkim nie kryły się oczom,

I w szczerych słowach, jak wonne powoje
Na słońce biegły jasno i przeźroczo.
I widać było przez twoją źrenicę
Duszę i wszystkie duszy tajemnice. —

Dziś kok na głowie i suknia z ogonem
Już na pannicę pasowały ciebie —
Wszystko inaczéj — dzisiaj ja z Neronem
Już eśmy oba na łaskawym chlebie,
Myśli twe w duszy skryły się, jak w studni,
Dojrzeć je trudno, więc i życzyć trudniéj. —

Bo pragnień twoich drogi dziś zawiłe,
I trudniéj w słowach wyczytać twą duszę,
I to co miłe i co ci nie miłe; —
Więc, zamiast życzeń, dać ci chyba muszę
Czystą karteczkę — a ty na niéj skrycie
Wpisz, czego pragniesz, by ci dało życie.

Jednę ci tylko chce zrobić uwagę:
Każdej nadziei, co jak kwiat rozkwita,

Po pod kielichy zajrzeć miej odwagę,
Czy nie na sztucznym druciku jest wbita,
I nie wierz takim bez jutra nadziejom,
Bo kłamią życie — w chwili gdy więdnieją.

1872.

WYZNANIE.

W ogrodzie stali — maliny rwali;
Ale na siebie spojrzeć się bali —
A było ich dwoie: on —, ona. —
Panienka była zarumieniona,
I w rzęs jedwabnych ponętne cienie
Kryła błękitnych oczek spojrzenie. —
A szkoda, bom miał zapał najszczerszy
Pisać o oczkah tych kilka wierszy;
Bo choć spuszczone skromnie, nieśmiele
Miały te oczka dowcipu wiele,
I czaiły się pod rzęs namiotem,
Niby figlarne kotki za płotem.

Była w sukience lekkiéj, różowéj...
Malin gałązki ją do połowy
Skryły, a jedna gałązka mała
W bieluchną szyjkę ją całowała.

Młody zazdrosnym był oczywiście
Patrząc, co z panną robiły liście,
I na myśl przyszła piosnka w potrzebie:
„Gdybym ja mógł być — gwiazdką na niebie“...
W piosence zrobił tę zmianę ino,
Że zamiast gwiazdką, chciał być maliną —
I westchnął. — Panna spojrzała ładnie —
„Za czém?“ — spytała. — Niech pani zgadnie.
„Jak *to* wygląda?“ — Jak Anioł będzie —
Tylko mu skrzydła przypiąć łabędzie,
Wiotkie, powiewne, dowcipne, zgrabne,
W śmiechu rozkoszne, w smutku powabne...
Nie dałbym tego za skarby żadne —

Wstrząsnęła główką. — „Nie, nie odgadnę...
„A gdzieś to bywa?“ — W okienku rada,
Jak w wazoniku różyczka siada,
A wtedy okno w dziwnym jest blasku....
A poznałem *to* w bielańskim lasku
W majowe rano — biało ubraną,
I tak wydała mi się nadobna,
Że mi już bez niéj żyć niepodobna.

Mówił wzruszony — krew biła w lica —
Rączką maliny skubie dziewica,
I ramieńczykiem twarz jéj rokzwita —
A jak na imię *temu?* — zapyta. —

Dziwne to imię, czarów w niém dużo —
Dwie pary liter, jak dwa bliźniątka —
Czytaj od końca lub od początka
Jedno ci imię powtórzą. —

Panienka na to nic nie odrzekła;
Lecz zrozumiała — bo raczka spiekła,
I między malin liście się kryła,
I sama jako malina była.

Ta jéj nieśmiałość śmiałym go czyni,
Że się odważył u nóg bogini
Klęknąć; — — lecz lokaj popsuł mu rolę —
Wszedł — i powiedział: waza na stole.

1862.

SPOWIEDŹ.

Kiedym był młody — i bardzo młody —
Kochałem pannę cudnéj urody.
By ją wciąż widzieć — ptaszkiem być chciałem,
Gdy ją bolała główka — płakałem,
Wieczór paciorkim odmawiał za nią,
Aż raz szepnąłem: ja kocham panią. —
A ona rzekła: jeszcześ za młody,
I jabłko dała mi dla ochłody.

Gdym podrósł trochę, kochałem drugą;
Ale z daleka i to nie długo.
Raz ją w kościele w ławce ujrzałem —
Odtąd marzyłem o niéj — wzdychałem,

I jak cień ciągle chodziłem za nią:
Aż napisałem jéj: kocham panią!
A odpisała: „nie znam cię panie“ —
I tak skończyło się to kochanie.

Nie długo potém kochałem inną.
Była młodziutką, wesołą, zwinną
Oczka z turkusów, włoski złociste,
Dołki na twarzy i ząbki szkliste.
I byłem pewny, że mnie kochała,
Bo nieraz na mnie oczkiem rzucała;
Aż raz zwierzyła mi się tajemnie,
Że zakochana; — ale nie we mnie.

A potém jeszcze kochałem jednę.
Przylgłęło do niéj me serce biedne,
Bo była piękną, bo mnie kochała,
Bo kiedym przyszedł słodko witała.
A smutną była w chwili rozstania;...
I tak rok było tego kochania
A za mąż poszła, — a na ostatek
Łzy na pamiątkę dała i kwiatek.

Odtąd już rzadko myślą się pieszczę,
Aby mnie która kochała jeszcze;
A jednak ciągle za niemi łażę,
Na ich nadobne patrzę się twarze,
Patrzę czy która przez zapomnienie
Nie rzuci jakie czułe spojrzenie,
I ich wesołe mowy rad słyszę — —
A potém z tego piesenki piszę,

1861.

W NOC KSIĘŻYCOWĄ.

Księżycu blady, ty pamiętasz może
Owe pogodne noce w białym dworze,
Gdy marząc obaj, obaj zakochani
Zaglądaliśmy w okna naszej pani? —

Księżycu blady, ty pamiętasz może
Jak przysięgała mi raz o wieczorze —
Na złoty krzyżyk przysięgła w zapale
Kochać mnie wiecznie i wiernie i stale?

Księżycu blady, chodźmy znowu w parze —
Na szybach brzęknę pieśń, jak na gitarze, —
A gdy się w oknie zjawi jasna głowa,
Spytam, czy wiernie przysięgę mi chowa? —

Lecz księżyc skrył się za czarne chmur zwoje;
Więc sam poszedłem zajrzeć w jéj pokoje —
I zobaczyłem ją znów, lecz niestety
Mąż siedział przy niéj — i czytał gazety.

1868.

PRZYSIĘGA DZIEWCZYNY.

Za sadem kwitnącym, za dworem,
Żegnało się ich dwoje wieczorem;
Młodzieniec panienkę przecudną
Za rączkę bieluchną wciąż trzyma,
Smutnemi w nią patrzy oczyma,
I żegna — a odejść mu trudno.

— „Pajadę — zapomnisz mnie pewnie“,
Powiedział rozpacznie i rzewnie.
— „O nigdy, bo kocham cię szczerze“.
I krzyżyk z za gorsu dobyła,
Dwa na nim paluszki położyła
— „Przysięgnę — uwierzysz?“ — „Nie wierzę.„

— „Nie wierzę, bo znałem o droga
Kobiety, co wiarę i Boga
Zmienili dla ślubnych pierścieni;
Więc choćbyś przysięgę składała
Na krzyżyk — przysięga za mała,
Krzyż rzucisz, gdy serce się zmieni.“

— „Nie wierzysz? Na ojca włos siwi,
Na miłość méj matki sędziwéj,
Co teraz tam pewnie pacierze
Odmawia za ciebie w dobie,
Na matkę przysięgam więc tobie,
Czy wierzysz mi teraz?“ — „Nie wierzę.“

— „Nie wierzę, bo przykład nie rzadki,
Że ojca starego i matki
Odbiegnąć bez żalu możecie;
Więc klątwy na matkę na twoją
Zwątpienia mojego nie koją,
Nie zrobią, bym wierzył kobiecie.“

Lecz chceszli (rzekł on do dziewczęcia),
Bym w twoje uwierzył zaklęcia,
To mi złóż przysięgę o droga
Na to, co każda z was rada
Nad wszystko na świecie przekłada,
Nad ojców, kochanka i Boga.

— „Przysięgnij mi na twoją urodę,
Przysięgnij mi na lata twe młode,
Przysięgnij, że kochasz mnie szczerze,
Jak kochasz płomienne twe oczy,
I dwoje tych długich warkoczy, —
Przsięgnij — a wtedy uwierzę.“

1865.

III.

OBRAZY I OBRAZKI.

NOC NA CZORSZTYNIE.

Pamiętasz noc na Czorsztynie?
Niebo, jak sine stepy —
Po niebie księżyc płynie
I patrzy w puste zamku czerepy,
Co na tle jasnego błękitu
Siadły wysoko od ziemi,
Jak sęp z skrzydły obwisłemi,
Na nagiéj skale granitu?

Pamiętasz, jak zakapturzeni,
Niby mnichy, w zadumanie
Siedzieliśmy, mając za posłanie
Kiry zamkowych cieni? —

U nóg naszych ziemia uśpiona —
A mgła, jak z muślinu zasłona,

7*

Po nad senną ziemią się kołysze, —
Za mgłą Dunajec wśród białych kamieni
Srebrnemi wodami się pieni,
I szemrze pacierze mnisze. —
I ta noc w górach osnuta cichemi
Tajemnicami i nieba i ziemi,
Jako sen piękny przed nami stała. —

A gdy chłód nocy ziębił nam ciała,
Tyś szedł — po skałach zbierać gałązki,
By ognia naniecić niemi,
I koło zamku przenosząc wiązki
Kłaniałeś się aż ku ziemi,
Przed omszonym murów głazem
(A z tobą długi, czarny cień razem)
I wołałeś: „Czorsztyński starosto!
Nie karz mnie ty turmą, ani chłostą
Za tych kilka suchych drewek panie“
A to cierpkie twoje urąganie
Z umarłych grzechów — zamkowe mury
Powtarzały echem w takt ponury,
Niby na basztach rozstawione straże.

Za chwilę ogień oświecił nam twarze,
I gęste dymu zwoje
W rozwalone zamkowe podwoje
Płynęły, jako białych duchów zgraje,
O których piastunka nam baje. —

Leżeliśmy tak wszyscy w milczeniu —
Jam miał głowę jako Jakób na kamieniu;
Patrzałem na zamek do góry —
A sterczące, jak szkielety, mury
Dziwne na siebie brały postacie:
— To dwóch pielgrzymów w zakurzonéj szacie,
A krople potu czoła im roszą —
Stoją przed bramą i o nocleg proszą....
— To znowu inny muru kawał
Białą niewiastą mi się wydawał,
Co ku przepaści schylona zlekka
Widno tęskni i czeka....
Może na tentent rumaka,
I pieśń czułą błędnego śpiewaka....
— A inne znów czorsztyńskie głazy

Wydawały mi się znów
Jak zbity wojska huf,
Co milcząc czeka na rozkazy. —

A gdy sen mi obciężył powieki,
Złudne z starych kamieni obrazy
Przenosiły myśl mą w dawne wieki.
Spienionego Dunajca szum dziki
Sen przemienił w tatarskich hord krzyki — —
Na niebie czarném, jak całuny,
Znak najazdu — czerwone widać łuny —
A lasy jak kadzielnice pogrzebu
Płonąc ślą dymy ku niebu. —
Nad zamkiem chmury. — Dunajec wzdęty
Na skały rzuca mętne fale,
I szklanne piersi rozbija na skale,
I wstecz zmęczony upada w odmęty.
Tak o czorsztyński zamek stary
Napróżno tłuką się Tatary. —

Nagle na murach światła zgasły — —
Czy strach przeszedł po kościach staroście?...

Brzęknął łańcuch przy zwodzonym moście —
To wycieczka nocna.... Hordy wrzasły
Przebudzone, — wśród wąwozu wrzawa —
Świst, szczęk, jęki, krzyki dzikiéj hordy
Splątały się w straszliwe akordy,
I z pod kopyt końskich dmie kurzawa.
Aż z pogmatwanéj tonów zawieruchy
Wstał tryumfalny śpiew i okolicą
Twardy, poważny, jak rycerskie duchy,
Szedł śpiew: Bogarodzico!

Znów inna scena: zamkowe komnaty
Pełne świateł, — panów polskich mnogo —
Wśród jasnych ogni od Węgier drogą
Jadwiga, w białe ubrana szaty,
W złotéj kolebce, — przy niéj rycerze
W stalowe ubrani pancerze. —
Górale patrzą z lasów ciemnicy
Na świetny pochód królowéj — dziewicy —
A lasy lasom podają z Czorsztyna
„Eljen Lengel! — vivat regina".

Wszystko to przeszło. — Jeden piorun z góry
Roztrzaskał zamkowe mury; —
Pod zamkiem chłopska siadła chałupa,
Okna puste jak w czaszce u trupa,
I komnaty wspaniałe w ruinie —
Na murach zielsko jak broda u dziada —
I lud z trwogą o zamku ci gada,
I żegna się w wieczornej godzinie,
Gdy na anioł pański dzwon wybija:
Ave Maria.

1863.

C U D.

Zczerniałe Matki Maryi lica
Blask srebrnéj lampy oświeca —
W cieniach ołtarza habit się mnicha
Bieli — kaplica pusta i cicha:
Babka staruszka kościół zamiata
Półgosem nuci pieśń Pani świata:
„Dobranoc tobie śliczna lilija.“ —
Wieżyce dzwonią ave Maria,
I w chórze śpiew słychać księży. —

W opadającym na ołtarz pyle.
Ileż modlitew, skarg ludzkich ile,
I westchnień bolesnych cięży.

Gdy tak rozmyślam, — słyszę — szeleści
Szmer po kamieniach sukni niewieściéj....
Dwie panie w grubéj weszły żałobie,
I kurz podróżny na szatach obie
Miały; lecz twarzym nie dojrzał wiele,
Bo zmrok już duży był na kościele. —

Jedna z nich krzyżem padła na ziemi,
I z pod leżącéj, jak z pod mogiły,
Płacz się wyrywał tony rzewnemi —
A pośród płaczu modlitwy były. —

Wstała — „o matko Boska" powtarza,
I na kolanach się do ołtarza
Dopełzła i szła w koło trzy razy
Na klęczkach — stopni całując głazy. —
Gdy światło lampy twarz oświeciło
Bladą — zdumiałem! — w twarzy nie było
Oczów i rzęsy na twarzy białéj
Na przebudzenie oczów czekały. —

A matka na mszę mnichowi daje —
„Patrz ojcze — mówi — serce się kraje,
„Że taka wątła, że taka blada,
„Boso czterdzieści mil tu wędruje
„Sił swych ostatkiem, — „matko — mi gada —
„Ja taką wiarę w mém sercu czuję,
„Gdy w Częstochowskiéj klęknę kaplicy —
„To jasność da Bóg mojéj źrenicy“ —

Wtém zakrystyjan brzęknął kluczami,
Że czas wychodzić. — Ślepa rękami
Szukała matki — wyszły z kaplicy
Pacierz do Boga mówiąc Rodzicy. —

Kłopoty życia i różne troski
Zatarły potem w pamięci mojéj
Ciemną paniekę z przed Matki boskiéj
Obrazu. — Idę raz — patrzę — stoi
Przed domem dziadów obdartych kupa,
Na trumny wieku mirtowy wianek,
I kir na oknach zamiast firanek.

Wszedłem paciorek zmówić za trupa;
Wtém w drżącym blasku płonących świecy
Twarz zobaczyłem ciemnéj dziewicy. —
Biedna — ujrzała źrenicę czystą
Światłość; lecz światłość już wiekuistą.

1862.

DZIWNY SEN.

Śniło mi się, żem umarł, lecz dusza przez ciało,
Jak przez krzyształ widziała wszystko, co się działo.
Słyszałem w chwili zgonu krzyk matki — a potém
Coś, jak ciało, na ziemię runęło z łoskotem;
I przez czas długi była cisza na około....
Tylko ciepłe łzy czyjeś ciekły mi na czoło —
Jakiś przyjaciel płakał nademną, żem nie żył. —
Potém czułem, jak stólarz ciało sznurkiem mierzył;
A po nim bab kościelnych, brzydkich weszła kupa,
I poczęły myć, czesać i ubierać trupa.
Ustroiły mnie baby we frak i lakiery,
I białe rękawiczki wcisnęły na palce,

Jak gdybym nie do grobu szedł: lecz tańczyć walce;
I zapalono przy mnie świec dwadzieścia cztery,
Którym obcinał knoty dziad nucąc pacierze, —
A ludzie szli przyglądać się, jak w trumnie leżę. —

I słyszałem głos obcych i znajomych osób,
Jak przez trzy dni sądzili mnie w przeróżny sposób,
Jedni złym, drudzy dobrym zowiąc mnie człowiekiem,
Że rad byłem, gdy trumnę nakryto już wiekiem,
Że już nie będę ludzkim gadaniem nudzony.

Niedługo potém z wieżyc zajęczały dzwony —
Orszak ruszył na cmentarz wśród deszczu i błota.
Wtedy duszę mą ciężka objęła tęsknota,
Za tą ziemię, com rzucał i było mi strasznie,
Gdym pomyslał, że światło dnia za chwilę zgaśnie,
I że świat ten grobowe zasłonią mi ciemnie —
Że ci, co szli za trumną, powrócą bezemnie,
Będą śmiać się, weselić, żyć i chodzić wszędzie,
I bawić się, jak przedtém — a mnie już nie będzie.
I gdy trumnę spuszczano do grobu, a potem

Usłyszałem jak ziemia padała z łoskotem
Na wieko; — i śpiew księży i płacze nad ciałem
Coraz mniéj dochodziły mych uszów; — struchlałem —
Trwogą zdjęty — i w oczach zrobiło się ciemno,
I długim czas nie wiedział, co się działo ze mną.

Aż ujrzałem się znowu gdzieś — w jakimś ogrodzie —
Wśród zapachów, zieleni, w rozkosznym drzew chłodzie; —
Jakieś postacie, szaty odziane białemi,
Jak łabędzie, skrzydłami nie tykając ziemi,
Pływały pośród kwiatów brylantowej rosy,
I po wodach błękitnych, gładkich, jak niebiosy,
Pełnych gwiazd — przechodziły jak po ziemi tłumem,
Cudne wydając tony białych skrzydeł szumem.

Siedząc z boku gapiłem się na dziwy one,
Bawiłem niemi oczy; ale zasępione
Serce moje nie mogło rozbawić się niemi,
I tęsknota je rwała do rodzinnéj ziemi. —

Wtém blask oczy uderzył: — aleją cienistą
Szedł jakiś starzec, kapą odziany złocistą,

Na którą białéj brody spadał strumień długi, —
Za nim szły dwa anioły, jak za panem sługi. —

Kiedy mnie mijał starzec, zatrzymał się chwilę,
Spojrzał i zwróciwszy się do tych, co szli w tyle,
Spytał: kto to? — a anioł rzekł ze czcią głęboką:
„Jeden z tych, co dziś z ziemską rozstał się powłoką.“ —

— „Czemuś smutny?“ — zapytał starzec zadziwiony,
„Kiedyś dostąpił tego, o co miljony
„Proszą mnie tam na ziemi ciągle. Jesteś w niebie!
„Smutek, jak sandał zrzucić powinieneś z siebie
„Wchodząc w bramy niebiosów do gwiazd i błękitu.“ —

A ja na to: „Jehowo — odrzekłem — źle mi tu,
„I nudno w waszém niebie, bo tu u was nie ma
„Mojéj ziemi rodzinnéj z mogiłami trzema,
„Ni starego Wawelu nad błękitną Wisłą;
„Więc mi tęsknotą wielką serce się tu ścisło,
„I jestem tu jak obcy.“ — Łzy mi głos zalały,
A anioły tęsknoty méj nie zrozumiały,

I oczami zdawały wzajem pytać siebie?
Czego pragnie ten człowiek, kiedy już jest w niebie?

Jehowa stał nademną w głębokiéj zadumie —
Czytałem w twarzy jego, że mój żal rozumie,
Więc się mu jak proch do nóg rzuciłem w pokorze,
I prosiłem. „Pozwól ty choć raz jeszcze, Boże,
„Zobaczyć moją ziemię!“ — A pan głową skinął,
I wtedy anioł skrzydła tęczowe rozwinął,
I wziąwszy mnie w ramiona przeszedł ziemi kawał,
I nad błękitem, co mi wodą się wydawał
Stanąwszy — zanurzył się w téj błękitnéj fali,
I spadaliśmy razem coraz niżej... coraz daléj....
Mijając mleczne drogi gwiazd, jasne księżyce,
Obłoki, — aż nas białe, klasztorne wieżyce
Pozdrowiły dzwonami, a ziemia zapachem,
I zatrzymał się anioł przed klasztornym gmachem,
Pod namiotem szumiących drzew, gdzie las bielański,
I rzekł: ziemia! —
Dzień robił się; — na anioł pański
Dzwoniły dzwony z wieży. — Na tle nieba, które

Wstające słońce w jasną odziało purpurę,
Wśród białéj mgły porannéj i mogilnych znaków
Ujrzałem miasto stare i krzyknąłem: Kraków!
I wyciągnąłem ręce do miłych pamiątek,
I z dziecinną radością każdy znany kątek
Odwiedzałem oczami; ścieżką, co się wije
Wśród olszyn i topoli i w zbożu się kryje,
Potem sznureczkiem białym ciągnie się nad rzeką
Pośród zielonéj trawy daleko — daleko —
I wśród sadów, rybackich chat znowu się chowa, —
Tą ścieżką biegły oczy moje do Krakowa.
I aniołowi ręką wskazując w tym grodzie
Każdą wieżę, co nieba błękit krzyżem bodzie,
Każdy muru kawałek słońcem pozłocony
Pytałem: prawda, jakie cudne nasze strony? —

Aniół słuchał nie słysząc — wzrok zwracał do nieba,
I zamiast odpowiedzi rzekł: „wracać już trzeba,“
I wziąwszy mnie za rękę chciał unieść ku niebu.—
Rozpacz mnie ogarnęła, jak w chwili pogrzebu —
Tęsknota bunt podniosła przeciw woli bożéj,

I począłem szamotać się z nim wśród rozdroży,
I wołać co sił stało głosy ochrypłemi:
„Ja nie chcę nieba, puść mnie, chcę żyć tu — na ziemi.“

Szamotanie zbudziło mnie — i wraz z tą chwilką
Odetchnąłem, gdym poznał, że to był sen tylko.
Spojrzałem ucieszony, wesół koło siebie,
I dziękowałem Bogu, że nie jestem w niebie.

1871.

ODJAZD.

Biały dworek na wzgórku —
Dwa powozy w podwórku
Spakowane do drogi dalekiéj.
W opróżnione pokoje
Smutnych dziewcząt szło dwoje
Każdy kącik pożegnać na wieki. —

Wsparta jedna na drugiéj
Poglądały czas długi
Na znajome w ogrodzie ścieżeczki —
Ileż szczęścia i smutku
W tym przebyły ogródku,
Ile marzeń tu miały dzieweczki!

I to wszystko trza rzucić,
I już nigdy nie wrócić,
Do miejsc obcych przywykać powoli; —
Więc nie dziwno, że oczy
Łzawy smutek im mroczy,
Że rozłąka z tém wszystkiem tak boli.

Nie daleko za dworem
Stoi skała nad borem,
Na niéj brzozy kołyszą się białe; —
Brzozy szumią tak smutnie —
Siostrom tęskno okrutnie,
Więc raz jeszcze pobiegły na skałę,

By oczami smutnemi
Raz się jeszcze téj ziemi
Téj Krakowskiéj napatrzeć do sytu,
I wiślanéj téj fali,
I tym Tatrom w oddali,
Co się bielą na krańcach błękitu.

A z pustelni Bielańskiej
Dzwon na anioł na Pański
Raz ostatni zadzwonił dziewczynom.
Jakby na pożegnanie
Paciorek mówił za nie —
A panienkom po twarzy łzy płyną.

Wtém od dworu od sioła
„Już jedziemy“ ktoś woła —
Panienki się zerwały spłoszone,
I pobiegły w tę chwilę
Jak dwa białe motyle
Ku dworowi przez łąki zielone,

Za niedługi czas potém
Wyjechały z turkotem
Dwa powozy na bity gościeniec —
Widać jeszcze przez drzewa
Ktoś chusteczką powiewa....
Aż kurzawy zasłonił ich wieniec.

Czyliż więcéj za nikim
Jeno za tym gaikiem
Za tym dworkiem, za ziemią tą cudną
Łzy i smutek dziewczęcy —
Czyż za nikim już więcéj?...
Nie wiem, nie wiem — odgadnąć tak trudno.

1865.

ANUSIA.

(Fragment.)

Niedziela była. — Na niebie pogoda —
W miasteczku cicho i ludzi nie wiele —
I na nieszpory dzwoniono w kościele. —
W oknie dzieweczka jakaś siedzi młoda —
Ładna? — Oj ładna, — oczy ciemne, duże,
I czarne włosy w aksamitnej siatce —
W okienku mirty, powoje i róże,
I kanareczek trzepocze się w klatce. —

Naprzeciw okna kościół i dwie wieże
Osnute całe gotycką koronką —

Spylone okna pozłociło słonko —
A dziady u drzwi szeptają pacierze.

Jak tu to życie spokojnie Anusi
W onym zakątku cichym płynąć musi!
Ba! gdyby to był taki kąt na świecie,
Gdzieby człek uciekł przed bolem, co gniecie;
Gdyby to można pożyczyć, gdy trzeba,
Ciszy z kościoła, a pogody z nieba.

Ale to nieraz słonko na błękicie,
A tu na ziemi takie chmurne życie, —
Tu ludzie płaczą — tam się palą strzechy —
Tam grób otwarty, co na trumnę czeka; —
Że zgadnąć trudno, czy to słonko z człeka
Urągać przyszło, czy dać mu pociechy. —

Ano dzieweczka rączkami drobnemi
Zakryła oczy i łezki ku ziemi
Przez palce cieką, bo tam u ołtarza

W kościele ślubna para uklękała,
I ten, którego ona pokochała,
W téj chwili innéj przysięgi powtarza.

Toteż nie dziwić się dziewczęcym żalom.
I gdy powozy ruszyły z turkotem,
Dziewczę na ziemię upadło z łoskotem,
Jako ten kamień, którym grób przywalą.

1868.

ZAŚLUBINY.

(Podług pieśni gminnej.)

Siadło dziewczę smutne na posłanie,
Rozczesane, w koszuleńce białéj,
Założyło rączki na kolanie,
I dumało — a drużki śpiewały
Na dobranoc za oknem jéj chaty:

„Ej, przyjadą jutro szumne swaty,
I ruciany zdejmą wianek z głowy,
I rozplotą twój warkoczyk płowy —
Już ty więcéj nie nasza Zosieńko“. —

Poszły drużki — puknął ktoś w okienko; —
Ona wyszła — łzy fartuszkiem ściera.
I na Stacha żałośnie spoziera,
I szeptała: „dolaż moja, dola,
Już ja jutro żona — a nie twoja“. —

Stach nie mówił nic, jeno ponury
Wpatrywał się w smutne liczko Zosi —
Wziął za rękę — „chodź ty ze mną — prosi
Odprowadź mnie, chociaż do figury!

Nocka letnia — księżyc świecił w blasku —
Oni poszli — i zniknęli w lasku. —

Wyszła matka z chaty, woła doni —
Doni nie ma — echo wiater goni —
Matkę strach wziął, i paciorki gada,
I pobiegła ku krzyżowi blada. —
A na krzyżu — Jezu mój kochany!
Kołysał się wianeczek ruciany —
Zosi wianek.... Ręce załamała,
I znów dalej w chłodny las leciała.

Na zielonej trawie Zosia leży, —
Krwi korale płyną po odzieży,
Nad nią stoi Stach i topór trzyma, —
W bladą Zosię błędnemi oczymi
Patrzy dziko i śpiewa pio senkę :
„Ej, pojąłem za żonę Zosiekę“.

18 61.

G Ó R A L.

Góral w obcéj ziemi
Stęsknił za swojemi —
Upił się i płakał,
I śpiewał i skakał:

„Chato moja, chato
W tobie nie bogato —
A mnie nawet w niebie
Będzie źle bez ciebie.

„Płaczą dzieci, żona,
Że mnie nie ma doma, —

Teraz głodni może —
He, héj mocny Boże.

„U u nas chleba nie ma,
U nas długa zima;
Ale wody — hale —
Hale, moje hale“....

Wódką zapił żale
Na ławę się rzucił —
Przez sen jeszcze nucił:
„Hale, moje hale“....

1864.

DLA CHLEBA.

Góralu! czy nie jest ci żal
Odchodzić od stron ojczystych? —
Świerkowych lasów i hal,
I tych potoków srebrzystych
Góralu! czy nie jest ci żal? —

Góral na lasy spoziera,
I łzy rękawem obciera,
I rzekł: „ha, darmo, kiej trzeba! —
Dla chleba panie, dla chleba". —

Góralu, wróć się do hal ,
W chacie zostali ojcowie,
Gdy od nich pójdziesz w dal,
Co z nimi stanie się — kto wie... ?
Czyż ci tych starych nie żal ? —

A góral jak dziecko w głos płacze:
„Oj może już ich nie zobaczę, —
Ha, darmo paniczu, kiej trzeba!
Dla chleba panie, dla chleba“. —

Góralu nie odchodź, oj nie —
Na wzgórku u męki boskiej
Tam płacze dziewczę twe —
Uschnie z tęsknoty i troski,
Gdy pójdziesz; — nie odchodź nie! —

On głowę zwiesił i wzdycha:
„Oj, dolaż moja“ — rzekł z cicha —
„I dziewkę porzucić trzeba
Dla chleba panie — dla chleba“.

I poszedł z grabkami i kosą,
W guńce starganéj i boso
Precz poszedł w doliny — w dal,
Góralu, żal mi cię, żal!

1865.

ZIMOWYM WIECZOREM.

Na mlecznem niebie blady księżyc siedzi,
Jak jezuita, gdy słucha spowiedzi, —
Nachylił głowę i ciekawie słucha,
Co grzeszna ziemia szepcze mu do ucha. —

Ziemia dewotka i stara grzesznica
W śniegowy rąbek ustroiła lica,
I taka smętna była, taka biała, —
Tak pokutnica pięknie wyglądała,
Że księżyc roli zapomniał — i panią
Zamiast spowiadać — zagapił się na nią.

1861.

W IMIONNIKU G.

Przeglądałem zbiór twego albumu —
Pochwał mnóstwo w nim, popisów krocie
Uczoności, serca i rozumu,
Żem doprawdy w niemałym kłopocie
Jakich dobrać słów, jakiego głosu,
By nie zginąć wśród tego chaosu.

Lecz odrzucam te dumne zachcenia,
I chociaż to pokusa nie mała
Z takich ustek, jak twoje, pochwała: —
Zamiast pochlebstw, czułości, kadzenia,
Zamiast kwiaty do nóg ci kłaść, — wolę

Rzucić słowo, jak ziarno na rolę
Ciche, plenne, ciężkie, niech ci służy,
Jak kotwica okrętom wśród burzy. —

I tém zacznę, co już tyle razy
Powtarzać ci musiał jeden i drugi,
„Żeś jest piękną“ — — o! nie miéj urazy —
Nie ma w tém twej winy, ni zasługi,
Żeś jest piękną. — Piękność, jak broń męża —
Niczém — kiedy cicho drzemie w dłoni,
Chlubą, gdy się zerwie i zwycięża; —
Cnotą, jeżeli uciśnionych broni. —

Więc pamiętaj, że walką jest życie,
A twa piękność ci będzie orężem,
Którą zrobisz niewieściucha mężem,
A dzikiego poskromisz jak dziecię;
Bezbożnemu niechaj twoje oczy
Znów przypomną i niebo i Boga, —
A na czoło, ktore smutek tłoczy,
Które boleść jaka chmurzy sroga, —

Niech twój uśmiech pociecha i rada,
Jak słoneczny promień z nieba spada. —
Oto twoje tryumfy, zdobycze — — —
Tego w chwili rozstania ci życzę.

1866.

V.

CICHA MIŁOŚĆ.

(Obrazek z nad Wisły.)

CICHA MIŁOŚĆ.

Powiastka z nad Wisły.)

PRZEDMOWA.

Z obrazków ziemi méj Krakowskiéj, świętéj
Na trzech mogiłach tak cudnie rozpiętéj,
Z złotych chwil szczęścia i z cichéj boleści,
Usnułem wątek téj mojéj powieści
Biednéj, nieśmiałéj, jak pacholę bose,
Co ma łzy w oczach — i korny ją niosę,
Jako w Jehowy świątynię w ofiarę
Noszono niegdyś synogarlic parę.
Wy, którym wielcy nucili poeci,

Nie gardźcie piosnką, co mi z serca leci;
Przy posągowém wielkich mistrzów dziele·
Piosenka moja jak bluszcz się rościele,
I marmurową pierś oplecie drżąca,
Drżąca z radości, że o nich potrąca.

I.

Dzień się kończył. Ponad Wisłą było
W owéj stronie, kędy Wawel siedzi,
Tak spokojnie, uroczyscie, miło,
Jako w młodéj duszy po spowiedzi.

Stary zamek — w około topole,
Chat rybackich kilka w sadów wieńcu,
Kilka białych domków na Zwierzeńcu,
I błękitna, cicha Wisła w dole —
Oto wszystko, co w nadwiślu było,
Ale wszystko tak się to złożyło,
Że tu człowiek o szczęściu śnić może.

Dzień się kończył i w białym klasztorze
Już na anioł pański dzwony dzwonią;

Słońce gasło na bielańskim borze,
A niebiosa, rozmarzone wonią
Letnich kwiatów — błękity zmierzchłemi
Coraz niżéj spadały ku ziemi.

Jasna ścieżka nad Wisłą się wije,
Za wierzbami stoi domek biały,
I wyziera na świat tak nieśmiały,
Jak dzieweczka, gdy twarz w rąbek kryje.
Cicho było w domku — u okienka
Młoda jakaś siedziała panienka
I zajęta szyciem cicho śpiewa,
A błyszczące promyki zachodu
Zakradły się z lekka do ogrodu,
I patrzały na dziewczę przez drzewa,
I przez białych firaneczek dwoje,
I przez gęste w okienku powoje.

Bo patrzenia była też i godna:
Chociaż blada, lecz dziwnie urodna,
Oczy ciemne, a przecież blondynka,
Napół smętna, pół figlarna minka;

Ale smutnie skończę o niéj gadkę,
Gdy wam powiem: panna biedną była,
I przy sobie chorą miała matkę,
I dla ludzi za pieniądze szyła,
I tém siebie i matkę żywiła.

Lecz niech wam się zaraz łzy nie marzą,
Co z westchnieniem płyną bladą twarzą
I ku wczesnéj prowadzą mogile;
Bo w tym domku biednie, ale schludno,
I cichego szczęścia było tyle,
Że obdzielić byłoby nietrudno
Tysiąc takich, którym świat zazdrości
Głośnych uciech i głośnéj radości.
O! im było dobrze w téj chudobie,
Jak gołąbki kochały się obie.

Po południu w święta i niedziele
Pan Stanisław czasem u nich bywał,
Z matką, z córką ugadał się wiele,
Pośmiał troche, albo co czytywał,
Lub rysował dla panny Anieli

Deseniki; to też nic dziwnego,
Że jakoby zbawienia dusznego
Tak Anielcia czekała niedzieli.
A gdy przyszedł i gdy do drzwi wchodził,
To jak młotkiem serduszko jéj biło,
I rumieńczyk na twarz jéj wychodził.
A nie przyszedł, — dziwnie smutno było,
I jéj oczy były jako kwiecie,
Gdy je w lśniące łzy ubiorą deszcze....

Ale toć wy nie Anielka przecie,
To nie znacie Stanisława jeszcze;
Więc pozwolcie — kilka lat wstecz wrócę,
I o Staszku co nieco zanucę.

II.

Była jesień smntna jako wdowa,
Wieczór blizki. Drogą do Krakowa
Szedł chłopczyna jakiś biedny, bosy;
Ciemne oczka miał i ciemne włosy,
A był w brudnéj, podartéj siermiędze.
Oj! niejednę znać wycierpiał nędzę,
Bo mu liczko zapadło, zbiedniało,
A oczęta łzawe tak nieśmiało
I po niebie i ziemi patrzyły,
Jakby one macochą mu były.

Zkądże, dokąd chłopiec młody kroczy?
Nie od szczęścia, nie od dobréj doli,
Bo za siebie nie biegną mu oczy,

Nie za szczęściem, bo idzie powoli.
Aż gdy przyszedł na wysokie wzgórze,
Stanął nagle zdziwiony wśród drogi,
I z podziwu zrobił oczy duże,
I do klęczk gięły mu się nogi;
Bo ujrzało ze wzgórza pacholę
Jak niebieska rzeka zwolna płynie,
A nad rzeką z kościołami w dole
Miasto duże — że jemu, co zgoła
Nic nie widział prócz swojego sioła,
Aż poczęło się mącić w głowinie.
Słucha mały — dzwonów choć ze dwieście
Na wieżycach huczy w oném mieście,
A słoneczko promienie tak miota
Od zachodu, że wszystko jak z złota
I ze srebra. Dwie stare mogiły
Jak piastunki miasto w sen niańczyły,
A klasztorne dwie wieżyczki białe,
Nad bielańskie lasy wybujałe,
Wyglądały niby dwaj anieli,
Co spłynęli z nieba z cichą rosą,

I w Piastowską chatę idą bieli,
I pociechę w białych skrzydłach niosą.

Tym sierotą, to był Staszek mały.

Już zciemniało i gwiazdy już tlały,
A sierota bez dachu i w biedzie
Szedł i płakał, nie wiedząc gdzie idzie.
Aż znalazła się kobieta jedna,
Co słyszała płacz dzieciny boséj,
I przyjęła w dom, choć sama biedna,
I mówiła córce jasnowłosėj:
„Będzie z niego braciszek dla ciebie.“
I Anielcia i Staszek maleńki
Jak dwa listki przylgnęli do siebie,
Na pociechę i radość mateńki.

Trudno było dopytać małego
Kędy domek i rodzina jego;
Mówił tylko ciągle o trumience,
Ciemnéj izbie, o zimnéj mateńce,
Że dziad jakiś, ale nie wie który,

Wiódł go ze wsi i gdzieś u figury
Rzekł mu: „Idźże teraz w świat, nieboże,
Obcy lepsi będą tobie może.“
To pamiętał i to mówił mały,
A łzy grochem po liczku kapały.

III.

Płynie Wisła — z Wisłą płyną latka,
I nad Wisłą postarzała chatka,
I sierotka już wyrósł w chłopaka,
I Anielka już dzieweczka taka
Z jasném czołem i pogodną duszą;
Wiotka, sliczna jak ranny obłoczek,
W twarzy ciemnych pływa dwoje oczek. —
Gdy się z Staszkiem bawiała pod gruszą
Na murawie, przy swéj matce miłéj
To te oczka jak gwiazdy świeciły
Od radości i uśmiech był w twarzy.
A gdy Staszek w inną odbiegł stronę,
To te oczka jak na płacz stworzone,
I do matki tuli się i skarzy:

„Mamo droga — dla czego ten Staszek
Nie chce moich zabaw i igraszek“ —

Staszek kochał siostrunię przybraną;
Ale milsze niż śmiechy dziewczęce,
Były jemu zabawy chłopięce,
I tam leciał, gdzie bójki staczano,
Pod las chłodny, kędy chłopcy mali
W żołnierzy się i wojny bawali —
Lub gdy łodzi, wiosła dorwał mały,
To mu ręce od zapału drżały,
I pierś chłopca od radości rosła,
I przyuczał wczas ręce do wiosła,
Ku rybackiéj ciało niewygodzie,
A znał Wisłę, jak ścieżki w ogrodzie.

Kiedy wieczór senną ziemię rosi,
On pocichu z domu się wykrada
Do starego Grzegorza sąsiada,
I na nocny połów z nim się prosi.
I płynęli obaj w noc gwiaździstą,
Ciszą nocną, drożyną srebrzystą,

Z pluskiem wioseł... a Grzegorz mu gada
Kędy skała, mielizna i zdrada,
Kędy połów obfity nocami.
A gdy przyszyli w cień tynieckiéj skały,
Gdzie przez okna ruiny ponuréj
Przeglądają gwiazdy i lazury....
O powieści stare prosił mały;
Wtedy Grzegorz powieści, legenedy
I o zamkach i o wojnach pocznie,
Co z ksiąg czytał, lub widział naocznie,
Lub od starych słyszał ludzi kędy.
Więc mu prawił o rybackim rodzie,
O rybakach — aniołach na wodzie,
O Tatarach, obrońcy rybaku,
Aże dusza skakała w chłopaku.
U nóg starca siedział cicho mały
I stosowne do jego powieści,
To mu oczy radością się śmiały,
To twarzyczka bladła od boleści.
Przestał Grzegórz — to on go całował,
Rączętami nogi obejmował,

I prośbami drżał głosik chłopięcy:
„Mówcież, mówcież mi Grzegorzu więcéj!“

I za każdą taką jazdą nocną
Chłopiec bywał zamyślony mocno;
Wtedy próżno go Anielcia woła
Do bawiących się dzieciątek koła;
Wolał wtedy siadywać sam w chatce
I na świstku, lub książki okładce,
Wiecznie kreślił coś i znowu mazał,
Lecz nikomu nigdy nie pokazał.
Aż go matka zdybała przypadkiem,
Jak w olszynie na papierze gładkim
Różne jakieś rysował figury:
Niby kościół, rozwalone mury,
A z nich idzie tłum niewiast, rycerzy — —
Nad tém wszystkiem pełny księżyc świeci;
Z boku widać łódeczkę maleńką,
A w niéj starzec, oparty na sieci,
Pacholęciu, co mu u nóg leży,
Coś tłomaczy i wskazuje ręką; —
Więc zdziwiona chłopczynę zagadnie,

Kto rysować uczył go tak ładnie.
Stach jąkając się nieśmiało gada,
Że od starca Grzegorza sąsiada
Dużo ślicznych gadek się nasłuchał,
A spamiętać wszystkie było trudno,
Więc co słyszał jaką powieść cudną,
To rysował, by czas nie rozdmuchał
Mu ich w głowie, jak w jesieni liście,
Boby szkoda było oczywiście.

Matka chłopca pogłaskała rada,
I zaniosła papier do sąsiada,
Ten do kumy, kuma dała kumie,
I wnet wszędzie były o tém mowy,
Że przybrany syn ubogiéj wdowy
Tak udatne rzeczy kreślić umie.

Aż ksiądz proboszcz rzekł jednéj niedzieli
Po nieszporach do matki Anieli:
„Chłopiec talent ma, marnować szkoda,
Niech go jejmość do szkół w mieście odda;
„W domu próżno tylko będzie wadził.“

I stało się jak ksiądz proboszcz radził.
I oddano go między malarzy,
A niewiasta czém może go darzy;
A choć bieda w domu, nie narzeka,
Byle Staszek wyszedł na człowieka.

Aż gdy brakło funduszów nareszcie,
Staszek sam się utrzymywał w mieście,
A choć czasem i głód cierpiał pono,
Nikt nie wiedział, bo się nie pożalił,
Jeno w sztuce wciąż się doskonalił,
I po ludziach wielce go chwalono.
Wszędzie radzi go mieli, lubili;
Ale jemu było tam najmiléj,
Kędy domek za Wisłą się bieli.
A więc w święto i każdéj niedzieli
W wolnych chwilach on tam przesiadywał
Przy mateńce (bo ją tak nazywał)
I przy swojéj siostrzyczce Anieli.
A był taki wesoły, uroczy
I duch czysty przeglądał przez oczy.

Oj wiedziała Anielcia dla czego
Tak serduszkiem przylgnęła do niego.

Ale już téż nie jednéj niedzieli
Staszka tu za Wisłą nie widzieli,
A gdy przyszedł, zamyślony siedział,
Mało śmiał się, mało co powiedział.
Więc Anielka także smutnéj twarzy.
Rzadko śpiewa i rzadko się śmieje,
I jak dawniej mateńce się skarzy:
„Oj mateczko, co się z Staszkiem dzieje?“

IV.

Więc gdy znacie już Staszkowe dzieje,
I bieg losu jego od początku,
Do dalszego wrócę teraz wątku,
Do okienka, gdzie dzieweczka młoda
Pochylona robiła robotę.

Pochowały się promienie złote,
Pociemniało — szkoda ocząt, szkoda.

Więc Anielka robótkę złożyła,
Poprawiła pomięte firanki
I do matki staréj przemówiła:
„Matko moja, chodźmy dziś na wianki.

Tam pod zamkiem pięknie urządzono
Jakieś śpiewy, jakieś ognie pono;
Tak Staś mówił." — Prosiła i ręce
Całowała w pieszczotach mateńce;
A gdy matka przystała, więc ona
Ubierać ją pocznie ucieszona,
Potém siebie skromniutko a ładnie.
Lecz nim wyszły, pobiegła w ogródek
I wianuszek zwity z niezabudek
Wzięła z sobą, bo i ona na dnie
Cichéj duszy miała pragnień kilka
Wykarmionych wyobraźnią młodą,
I pytała się trwożna co chwilka,
Czy się spełnią, czyli ją zawiodą?

Wzięła wianek i do matki bieży.
A wtém z białej zwierzynieckiéj wieży
Dzwon grobowy co ma pierś pękniętą,
Dziewięć razy drgnął modlitwą świętą
Za tych, co tu w Wiśle potonęli,
Aby wieczny odpoczynek mieli.

I Anielcia w ogródku klękneła,
Za umarłych modlić się poczęła,
Bo dobrego ojca niegdyś miała,
A rybakiem był — w Wiśle utonął.
(Ona wtedy była jeszcze mała).
Modliła się, a w duszę jéj wionął
Smutek, jakby chłodny wiatr z mogiły.
Złe przeczucia radość z twarzy piły,
I ku ziemi smutną główkę kłoni,
A wianuszek drżał jéj w drżącej dłoni.

V.

Nad Wawelem księżyc w chmurach chodzi,
Stare mury srebrne od promieni;
A u spodu wśród zamkowych cieni
I gwar ludu i szum słychać łodzi.
W jasne blaski księżyca ubrane
Tłumy roją się nad brzegiem Wisły,
Istne kwiatów morze rozigrane;
A na wodzie wianeczki zabłysły,
Niby gwiazdy, co z niebios powały
W ciemny błękit Wisły pospadały.

Płyną wianki młodych Krakowianek,
A na każdym marzony kochanek;
Myśl dziewczęcia, o przyszłości śniąca

Drży na wianku, jak skrzydła motyle,
To obawą o duszę jej trąca,
To nadzieją rozjaśnia ją mile,
Jako księżyc, gdy z chmur wyjdzie nocą.

Płyną wianki z róż po gładkiej fali,
Jak oczkami — świeczkami migocą,
Jedne toną, drugie płyną dalej;
A tymczasem młódź, stojąc u brzegu,
Bystrém okiem ściga wianki w biegu,
Radośnemi pieśniami takt bije
Pląsom myśli dziewczęcych po wodzie,
To z wesołym śmiechem siada w łodzie
I wśród ogni i wianków się wije.

Śliczna nozka! Czarodziejski wątek
Dziwnych marzeń, uroku i cudu!
A i w pieśniach wieśniaczego ludu
Ta noc — nocą guseł i pamiątek.
Dziś czerwcowe słońce pełne żaru,
W każdy kwiatek nasypało czaru;
W ciemnych lasach wśród mchu i wilgoci

Kwiat cudownej rozkwita paproci,
Rozkwitając kona i przemija.
Macierzanka, ruta i szałwia,
W latające girlandy świetlane
Świętojańskich robaczków ubrane,
Pachną w ciszy nocnej i dziewczęce
Zabobonne wabią k'sobie ręce.

Ano baję, jak gaduła wielki,
A tu trzeba wracać do Anielki.
Patrzcie! patrzcie! Na zakręcie Wisły
Zdala tłumu świeczki dwie zabłysły
I pobiegły po modréj topieli,
A za niemi oczęta Anieli.
Z mateńką się za ręce trzyamały
I obiedwie za wiankiem patrzały.

Ale cóż się to Anielci stało,
Że tak nagle liczko pobielało,
I mateńki dłoń ściska gorącéj,
I za wiankiem nie patrzy już więcéj?
Bo głos znany, drogi dla serduszka

Z niedaleka zaleciał w jéj uszka,
Zaplątany w rozmowy i śmiechy:
To głos Stasia. On rozmawiał sobie
Z jakąś panią dostojną w żałobie
I z jéj córką — o! z córką najwięcéj
I z zajęciem, — a jéj uśmiech cichy,
Wpół panieński a napół dziecięcy,
Na bledziutkiéj twarzy się rozsiadał,
Gdy słuchała jak Staś do niéj gadał;
I patrzała na niego nieśmiała,
Jednak widno, że chętnie patrzała.
A on, topiąc ciemne oczy w pannie,
„Kocham“ mówił niemi bezustannie.

Mocny Boże, pożal się Anielki!
Rozmarzone serduszko żal wielki
Ścisnął teraz; ku matce się kłoni,
„Chodźmy już do domu,“ szepcze do niéj.
„A twój wianek?“ matka ją zagadnie —
Patrz jak płynie spokojnie i ładnie,
Ni wiaterek na niego nie wionął.“
„Oj utonął mój wianek, utonął!

Nie wypłynie" — mówiła łkająca,
I dłoń matki uchwyciła drżąca;
Łzy fartuszkiem ściera pokryjomu
I ciągnęła mateńkę do domu.

VI.

Lecz któż były te panie w żałobie?

Gdybym ja miał talent poetyczny,
Tobym z tego zrobił ustęp śliczny:
Domysłami osnułbym je obie,
Potem udał, że ich nie znam wcale,
Zgadnąć kazał wam i sam zgadywał,
Powieść rosłaby, a ja w zapale
Wciążbym siebie i was zapytywał:
I któż były dwie *czarne kobiety?!*

Lecz że nie mam pretensyj poety,
Więc nie będę drażnił wyobraźni,
Lecz po prostu powiem: pani owa

W czarnéj sukni — to kasztelanowa,
A z jéj synem Staszek żył w przyjaźni.

Kasztelanic był na piersi chory,
Włoskie niebo radziły doktory,
A że nie chciał tam jechać bez Staszka,
Więc miał jechać on, Staszek i matka;
Kasztelankę zaś jak w klatce ptaszka,
Miano w jakimś umieścić klasztorze,
Gdzie przebywać miała aż do latka.
Odjazd miał się stać właśnie w téj porze.

Wejdźmy w pałac. W bawialnym salonie
Siedzi wyschły, zmędzniały młodzieniec;
Na kominie krwawo ogień płonie,
I na bladą twarz rzuca rumieniec.
Staś od niego prawie nie odchodzi,
Bo kochali się bardzo ci młodzi.
„Wiesz co, Staszku, trza przyspieszyć drogę;
Wiatr jesienny coraz mocniéj kłuje
Moje płuca i targa, — ja czuję,
Że tu dłużéj się zostać nie mogę.

Trza pojutrze" — Tu zakaszlał chory,
Tak, że na twarz wybiegły kolory.

Wtém przed bramą powóz się zatrzymał.
Chory niecierpliwił się i zżymał;
Lecz miast gości, stanęło w komnacie
Młode dziewczę, które wy już znacie.
Zosia było na imię panience,
W krótkiéj jeszcze chodziła sukience,
Jasne włosy jéj w loczki się wiły,
Koło wązkich ust dwa wdzięków dołki,
A nieśmiałe oczka tak się kryły
Pod powieki, jak w trawę fijołki.
„Któż przyjechał?" spytał brat przybyłą.
„Nikt braciszku, rzekła smutnie, skromnie,
„To z klasztoru przyjechali po mnie,
„Przyszłam cię pożegnać..." Łzy czuć było
W drżącym głosie, wstrzymywane siłą.

Straszna chwila pożegnania była
Brata z siostrą, co się tak kochali.
Ona świeża, jakby kwiat konwalji,

A od niego już pachnie mogiła.
Pożegnanie ich było podobne
Pogrzebowi. A potém Staszkowi
Zosia rączki swe podała drobne
I szepnęła: „powracajcie zdrowi!“
I wybiegła od nich; lecz w alkowie
Słychać było długo Zosi łkanie;
To pamiątka im i pożegnanie.
Czy kochała Staszka Zosia? — Kto wie?
Bo któż w duszy przeczyta dziewczęcéj
Te niejasne i mgliste marzenia,
Senne, choć już zbudzone z uśpienia?
Kto wie czy to przyjaźń czy coś więcéj?
I rozstali się dziś na czas długi,
Kto wie, czyli zejdą się raz drugi.

VII.

Dziwny chaos był w Stasiowéj duszy,
Kiedy wracał od kasztelanowéj.
Włoskie niebo i kraj zaalpowy,
Pełen czarów, ruin, geniuszy,
Wabił z dala; — ale czuł jak trudno
Rzucić ziemię tę rodzinną cudną.
I tych wszystkich, co tu miał i kochał;
Więc i cieszył się — i znowu szlochał,

VIII.

Jeszcze ujrzeć chciał za Wisłą chatkę,
I pożegnać Anielcię i matkę. —
Właśnie tam się miał wybierać z rana,
Gdy w tem ujrzał wchodzącego Jana
Na poddasze do jego izdebki.
Jan był rybak, człek mowny i łowny,
Siwy, łysy, ale jeszcze krzepki.
Gdzie zawitał — tam śmiechu bez miary,
Bo znał różne dykteryjki stary.

Ale dzisiaj coś w poważnéj minie,
Długo ręką gładził po łysinie,
Aż rzekł: „Siądźno, panie Stanisławie,
Bo o ważnéj mam pomówić sprawie,“

I rozpoczął od Adama prawie,
Aże w końcu doszedł do Anielki.
„Poczciwe to dziecko, skarb to wielki“
Ciągnął dalej — „pracowna, pobożna,
Że dalibóg niekochać nie można;
A żal bierze, że to zawdy w biedzie
Z starą matką lichy żywot wiedzie.
Więc ja myślę: mam drągala syna,
Jest i w sadzie niepłona drzewina,
Ryb nie mało u mnie w skrzyni przecie,
Dom chędogi, a jest i w kalecie
Nie chwalący coś starego grosza:
Ano niech się pobiorą i basta.
Zestroiłem się jednéj niedzieli,
I gdym wrócił ze mszy świętéj z miasta,
Kopnąłem się w swaty do Anieli...
I dostałem mospanie odkosza.
Co rozpocznę o ślubie, weselu,
To panienka łezki ściera z cicha;
Matka patrzy na córkę i wzdycha.
Aż po długich termedyach wielu
Szepnęła mi na ucho babina,

Że ku panu ma się coś dziewczyna.
Gadałać to pod sekretem matka;
Ale furda! któż tam język wstrzyma,
Kiedy dziewka więdnie przed oczyma
I na twarzy bielsza od opłatka,
Mało oczek z płaczu nie wyszlocha.
Więc cóż czekać, kiedy ciebie kocha?
Toć niczego mospanie dziewczyna,
A że będzie z niéj żona jedyna,
To jéj każdy na twarzy wyczyta.
Zatém z nią się waść ożeń — i kwita.
Taka moja rada, takie zdanie,
A wy sobie rozważcie to panie.
Potém... wiecie kędy Jana chata,
Przyjdźcie do mnie, będę rad za swata."

Tak powiedział Jan mowny, otwarty,
I pożegnał zaraz Stanisława,
Który długo o okno oparty
Stał i dumał — w piersiach walka krwawa,
Straszny zamęt. Tak się męczy, żali
Ptak, gdy skrzydła kamień mu przywali.

Myślą dawne odgrzebał wspomnienia,
I Anieli słowa i spojrzenia
Po pamięci jego przeciągały,
Jak żórawi po niebie sznur biały,
I wyrzutu dzwoniły piosenkę,
Że nie poznał wprzód, iż zapłonienie,
Gdy w nią patrzał, że lekkie jéj drżenie,
Gdy żegnając się brał ją za rękę,
Było więcéj niźli zaufanie,
Było więcéj niż siostry kochanie.
Myślał — myślał i żal brał go wielki,
Bo on kochać tak nie mógł Anielki.
— Więc ma nie iść tam, gdzie myśli gonią,
I gmach szczęścia własną zburzyć dłonią?
Więc zejść z drogi, kędy dusza śmiała
Wielką przyszłość sobie wydumała
I spaść nizko — i w takiéj cichości
Przejść przez życie drogą małą, nudną?
O, to trudno — o, to bardzo trudno!

Dumał Staszek, a w dumań błękicie
Słyszał czasem cichy płacz Zosienki,

Niby echo urwanej piosenki
O nadziei... Szkoda! śliczne życie!

Lecz gdy znowu myśl się nasunęła
Ile winien téj staréj kobiecie,
Co sierotę w dom swój przygarnęła,
Gdy nikogo już nie miał na świecie,
I dała mu, co sierocie trzeba,
Odrobinę i serca i chleba,
I kochała go jak dziecko własne.
To ciemniały znów marzenia jasne.
Czyż podobna za dobrodziejstw tyle
Niewdzięcznością serca im zakrwawić,
I porzucać je w nędzy, w rozpaczy?
Takiej zbrodni i Bóg nie przebaczy.
Ha, stało! się! — rzekł i nieprzytomnie
Porwał pióro, pisząc temi słowy:
„Nie pojadę, nie mogę! Bądź zdrowy,
I pamiętaj tak jak ja — ty o mnie!“

Po wysiłku tym upadł na łoże
I przeleżał tak przez dni trzydzieści,
Cierpiąc duszą i ciałem boleści.
Biedny Staszek! Pożal się go Boże!

IX.

Jest przy Panny Maryi kościele
Chryst cudowny, w smutnym grobów cieniu;
Co wieczora przy lampy płomieniu
Ujrzysz ludzi modlących się wiele
Na kamieniu, co od klęczek zgięty,
I patrzących łzawo w obraz święty.

Na obrazie Chrystus malowany,
Krew z sercowéj w kielich płynie rany,
Matka Boska blada kielich trzyma.
Litosnemi poglàda oczyma
Na człowiecze boleści i grzechy,
I u syna prosi im pociechy.

Przed ten obraz poszedł Stach sierocy,
Kiedy z ciężkiéj podniósł się niemocy,
Bo wśród cierpień było mu potrzeba
Pokrzepienia i pomocy z nieba.
Więc przed Matką Boską bolejącą
Modlił się tam długo i gorąco.
Świetne dumy o szczęściu, o sławie
Na poświęceń krzyżu ukrzyżował,
Dla tych których teraz umiłował,
Mówiąc: Boże! błogosław méj sprawie!"
Potém powstał i szedł gdzie Anieli
Skromny domek za Wisłą się bieli.
Późno trochę! Jego matka biała
Na śmiertelném już łożu leżała;
W głowach stoi z gromnicą sąsiada,
Pot z niéj ściera i paciorki gada,
A Aniela ziębnące już ręce
Łez potokiem rozgrzewa mateńce.
„Matko moja — droga moja mamo!
Nie zostawiaj mnie na świecie samą!"
Woła ku niéj boleśnie, rozpacznie;
A jéj matka z bólem w twarzy bladéj

Tuli córkę swą i gadać zacznie
Słabym głosem do swojéj sąsiady:
„Miła Marto — tak do niéj mówiła,
Gdy mnie chłodna nakryje mogiła,
Nie zapomnij o méj jedynaczce
Nie zapomnij o mojéj biedaczce,
By się między ludźmi nie zmarniła.“

Na to Marta rzecze: „Święty panie!
Długoż téj méj pieczy dla niéj stanie?
Toż ja wezmę tę gołąbkę młodą,
Lecz kiedy mnie w ciasny grób zawiodą,
To zostanie znowu sama jedna
W poniewierce między ludźmi biedna.“

Konająca ustami skrzywiła,
Jakby niemi dotknęła piołunku,
I z rozpaczą bolesną mówiła:
„A więc nie ma i dla niéj ratunku!
Jakżeż usnąć mi tam cicho w dole,
Gdy na taką rzucam niedolę!“

A wtém Staszek stanął w progu chatki —
Struchlał, skoczył do łóżka swéj matki.
„Matko moja, co się z tobą stało?
Nie patrz na mnie tak bolesną twarzą,
Bo mnie łzy twe przed Bogiem oskarzą
O niewdzięczność za tę chwilę całą,
Gdym zapomniał o was, matko miła.“
„Późnoś przyszedł, chora mu mówiła,
Ale ja się nie gniewam na ciebie.“
I tuliła go mocno do siebie,
I na jego i Anielki skronie
Błogosławiąc kładła zimne dłonie.
„Matko moja, mówił Staszek daléj,
Biorąc siostrę płaczącą za ręce,
Pozwól matko, byśmy się pobrali.
Ja twéj córce oddam to w podzięce,
Coś ty dla mnie sieroty czyniła;
Kochać będę wam tego anioła,
I pracować dla niéj w pocie czoła,
By szczęśliwą twoja córka była.“
Tak on prosił; lecz siostra płacząca
Ręce swoje wyrwała z rąk jego

I w ramiona matki padła drżąca.
I stłumionym płaczem gorzko szlocha,
Mówiąc: „Nie daj, nie daj mnie za niego,
Bo wiem, matko, że on inną kocha!“
Ale zimne, martwe matki ciało
Już wyrazów córki nie słyszało,
Tylko w twarzy uśmiech jaśniał miły,
I uśmiechem tym szczęścia, wesela
Trup się zdawał mówić z za mogiły:
„A więc będzie szczęśliwą Aniela!“

X.

Jeszcze jeden obraz do powieści, —
Po dwóch latach. — Znów noc księżycowa,
Wisła jako szyba metalowa,
I łódź płynie, i wesoło szeleści,
Łamiąc gładkie zwierciadło, — a w łodzi
Jacyś państwo dostojni i młodzi.

Młoda pani, szalem osłoniona,
W drżącą wodę patrzy zamyślona.
„Zofio — mąż rzekł — czyli ci nie chłodno?
Ach, zaziębniesz się tą jazdą wodną.“
I otulał hrabia swoją żonę.

„Jeszcze chwilkę — prosiła. Tę stronę
Lubię bardzo; tutaj niegdyś z bratem
Chodziliśmy na przechadzki latem.
Dziś grób jego od nas tak daleko,
Więc go szukam myślą nad tą rzeką.“
I patrzała znów na brzegi Wisły.
Wtém z po za drzew jakieś światła błysły.
„Mój rybaku, rzekła, co tak wiele
W onym domku jasnych świec się pali?“
„Proszę państwa, to Stacha wesele
Dziś.“ Zadrżała — rybak mówił dalej:
„Dobry chłopak, mógł los w świecie zrobić,
Bo miał zdatność i mógł się sposobić;
Ale się w nim zakochała jedna
Tu z Nadwiśla panieneczka biedna,
Której matka Stacha wychowała;
Więc przez wdzięczność — państwo rozumiecie,
Zdeptał los ten, co go czekał w świecie,
Bo go litość nad sierotą brała.“

„Co ci Zofio? ty drżysz,“ pytał żony
Hrabia. patrząc na nią zatrwożony.

„Nic mi, nic mi — szepnęła niewiasta;
Lecz już późno, wracajmy do miasta.“

Łódź z szelestem do brzegu przybiła.
Gdy kobieta z łodzi wychodziła,
Rybak dojrzał przy świetle księżyca,
Że łzy z rzęsów spadały na lica.

VI.

Z HAJNEGO.

NAPIS NA KSIĄŻCE.

W róże pachnące i w cyprys dumny
Chciałbym książeczkę tę ubrać ładnie,
Jak się ubiera umarłych trumny,
I pokłaść piosenki me na dnie. —

Gdybym i miłość pogrzebać mógł z niemi...
Na grobie dla innych choć może
Wykwitnie spokoju kwiat z ziemi —
Dla mnie zakwitnie, gdy w grób się położę. —

Ot, leżą pieśni, co jak lawa wrząca,
Gdy z Etny bucha, z piersi méj się lały,

Z głębiny piersi, gdy była gorąca,
Błyskały skrami, jak gwiazdy migały. —

A teraz leżą, jak umarli w ziemi,
Jako mgły białe, zimne — tak grobowo; —
Lecz gdy miłości duch stanie nad niemi —
Pieśni ożyją, zapłonę na nowo. —

O ja przeczucie mam, że kiedyś stanie
Ten duch miłości mojéj po nad niemi,
Że się książeczka ta kiedyś dostanie
W rączki twe luba, gdzieś, w dalekiéj ziemi.

Wtedy powstaną te pieśni rozliczne,
Martwe litery ożyją z radości,
I patrząc z prośbą w twoje oczy śliczne
Będą mówiły ci o méj miłości.

XXIII.

Dlaczego róż blade kielichy,
O! powiedz mi moja kochana, —
Dlaczego tak smutny i cichy
Fijołek skrył w trawce się zrana? —

Dlaczego tak śpiewa żałośnie
Skowronek, gdy w niebo wzlatuje? —
Dlaczego ja w kwiatach i wiośnie
Woń trupią, grobową woń czuję? —

Dlaczego mi słońce się zdaje
Tak zimne i pełne żałoby? —
Dlaczego tak zbrzydły mi gaje,
I ziemia ponura, jak groby? —

Dlaczegom tak chory na ciele
I smutny — o! powiedz o! miła —
O! powiedz dlaczegoś Aniele,
Dlaczegoś mnie opuściła?! —

IV.

Na pierś mą daj rękę — o! o! jak kołacze
Me serce, czy słyszysz aniele?
To cieśla tam siedzi i nudną ma pracę,
Bo trumnę mi robi lat wiele — —

I puka i sztuka i we dnie i w nocy,
I sen mi odgania z powieki —
O! spiesz tam majsterku — o ile w téj mocy,
Bym mógł już raz usnąć — na wieki.

XXVI.

Śniłem, że księżyc stał zadumany,
I gwiazdy smutnie świeciły ziemi —
Mnie sen do miasta méj pokochanéj
Przenosił skrzydły lekkiemi. —

I zaprowadził mnie do jéj proga —
Jam padł całując schodów kamienie
Po których nóżka jej stąpa droga,
I atłasowe szumi odzienie. —

Noc była głucha — noc zimna była —
Wilgotne, zimne były kamienie —
W oknie twarz jakaś się pojawiła
Osnuta w światło nocy i cienie.

LVII.

Niektórzy modlą się do Madonny,
Inni do Pawła, Piotra świętego.
A ja się chcę modlić do ciebie
Do ciebie słoneczka mojego. —

Bądź mi łaskawą — bądź dobrą dla mnie ,
Obsyp całusów twoich tysiącem —
O, najpiękniejsze wśród dziewic słońce,
A najpiękniejsza z dziewic pod słońcem.

XLI.

W śnie kochankę'm ujrzał dawną —
Jak szła blada przez ulicę
Wylękniona i wychudła,
I powiędłe mając lice.

I na ręku niosła dziecię —
A za rękę drugie wiedzie —
Wzrok i ubiór jasno mówią,
Że jéj życie w łzach i biedzie.

Chwiejnym krokiem drogą idzie,
I spotkała mnie spojrzeniem —
Patrzy trwożna — a ja do niéj
Z smutkiem rzekłem i westchnieniem:

Chodź do mego za mną domu,
Boś ty blada, boś ty chora, —
Ja pracować będę na was
Od poranku do wieczora.

Pielęgnować twoje dzieci
Będę, jako nikt na świecie,
A najbardziej ciebie lube,
Nieszczęśliwe moje dziecię. —

I żem niegdyś kochał ciebie
Nie przypomnę nigdy tobie —
A gdy umrzesz płakać będę
Płakać gorzko na twym grobie.

LXXXIII.

Już nad górami słońce powstaje,
I owce dzwonią po łące płoche —
Kochanko, owce, słońce i gaje
Niech wam się jeszcze napatrzę trochę. —

Spoglądam w górę w okna kochanki —
Bądź zdrowa — jadę — szepnąłem rzewnie —
Próżno! Nie drgnęły w oknie firanki —
Ona śpi; lecz śpiąc o mnie śni pewnie.

NA GÓRZE BROCKEN.

Już od wschodu dzień bieleje,
I różowa płonie zorza —
I gór szczyty na około
Płyną dumnie wśród mgły morza. —

O! gdybym miał krok olbrzyma,
Wiatru pędem biegłbym gnany
Przez wysokie gór tych szczyty
Do dziewczynki ukochanéj.

Z nad łóżeczka, gdzie śpi ona
Lekko odjąłbym zasłonę,

Cicho czółko jéj całowł,
Cicho usta rubinowe.

Cicho, ciszéj szeptał jeszcze
W lilijowe uszka małe:
Nie zapomnij o mnie luba —
Niech serduszko będzie stałe.

XXX.

Wśród nagich skał świerk stoi
Na północy sam jeden wśród chłodu.
I śpi marząc pod przykryciem
Pod przykryciem i śniegu i lodu.

Śniło mu się o palmie wysmukłéj,
Co na wschodzie gdzieś tam sama stała,
I na skale gorącéj oparta
Milcząc smutna głęboko dumała.

DO MOJÉJ MATKI.

Dziki to szał był, gdy się opuściłem
Matko! — po świecie, po całym chodziłem
Szukać miłości, zobaczyć gdzie ona,
I miłość miłośnie objąć w me ramiona.

I po ulicach miłości szukałem —
U drzwi, jak żebrak ręce wyciągałem,
Żebrząc o serce takie, które kocha; —
Dali nienawiść mi i śmiechu trocha. —

I wciąż chodziłem i szukałem przecie —
I nie znalazłem miłości na świecie.
Wróciłem chory; smutek w oczach miałem.

A tyś naprzeciw wyszła matko miła,
I w łzie, co drżąca w twych oczach świeciła —
Ujrzałem miłość, której tak szukałem!

DONNA KLARA.

Po ogrodzie w cieniu, w chłodzie
Alkadego córka chodzi —
Z okien zamku do jéj uszek
Trąb i kotłów wrzask dochodzi. —

„Ach, już nudzą mnie te tańce,
„I pochlebnych słów tysiące,
„I rycerze, co wciąż mówią,
„Żem tak piękna, jako słońce.

„Wszystko zbrzydło, odkąd rycerz
„Ów nieznany przy księżyca

„Srebrnym blasku tu przychodzi,
„I czaruje i zachwyca!...

„Gdy tak stanie smukły, śmiały —
„To w rycerskiéj swéj odzieży,
„Z lśniącém okiem, bladą twarzą
„Zda się istny święty Jerzy.“ —

Tak dumała donna Klara,
I spuściła na dół oczy —
A wtem stanął przed nią rycerz
Ów nieznany, ów uroczy. —

Rąk ściskanie — ust szeptanie
Trwało chwilę; — po lazurze
Księżyc płynie — wietrzyk chłodzi,
A kłaniają im się róże. —

I kłaniają im się róże
Zapłonione jak dziewica —
— „Ach, powiedz mi, moja luba,
Czemu płoną tak twe lica?“

„To komary tak mnie męczą,
A komary — są w upały
Uprzykrzone i nieznośne,
Jak żydowski motłoch cały.“ —

„Co tam żydy, co komary“ —
Z przymileniem rycerz gada; —
Z migdałowych drzew ze szmerem
Białych kwiatów dużo spada.

Białe kwiaty lecą z drzewa —
Zapach rozlał się po niwie —
„Ale powiedz mi, o miła,
„Czy ty kochasz mnie prawdziwie?“

— „O, ja kocham cię mój drogi —
„Na Chrystusa klnę się rany,
„Co przez tych obrzydłych żydów
„Był tak strasznie mordowany.“ —

— „Co tam Chrystus, co tam żydzi“ —
Rycerz szepta — ściska dłonie;

A lilije białe, senne
W księżycowéj drżą osłonie. —

A lilije senne, białe
Patrzą w gwiazdki migotliwe —
„Ale powiedz mi, o luba,
„Czy przysięgi twe prawdziwe?“ —

„Tak prawdziwe, mój kochany
„Jak, że w moich żyłach nie ma
„Ani kropli z krwi murzynów,
„Ni z plugawych żydów nie ma.“ —

— „Co tam żydy i murzyny“ —
Rycerz szepta coraz słodziéj —
I pod gęste mirtu cienie
Z Alkadego córką wchodzi.

Jakby mięką siatką jaką
Mirt w gałązki skrył ich gęste —
Ciche słowa i westchnienia,
I całusy słychać częste.

Słodką, tkliwą pieśń wesela
Śpiewa w krzaku ptaszek miły,
A robaczki świętojańskie,
Za pochodnie im świeciły. —

A pod mirtem coraz ciszéj...
Aż ucichło... ani słychu...
Tylko mądre mirtu listki
Szepczą sobie coś pocichu....

Wtém muzyka z okien zamku
Oświeconych znów zagrzmiała —
I z rycerza objęć czułych
Donna Klara się zerwała. —

„Już iść muszę, o mój drogi;
„Lecz nim się rozłączysz ze mną,
„Twoje drogie powiedz imię,
„Coś tak długo krył przedemną.“ —

Młody rycerz wziął jéj rękę,
I całował ją po skroni,

I po ustach i po rękach
I tak z śmiechem mówił do niéj:

— „Jam sennoro, twój kochanek,
„Sławionego w niebogłosy,
„Uczonego syn rabina —
„Izraela z Saragossy."

PIELGRZYMKA DO KEWLAR.

I.

Przy okienku matka stała —
A syn w łóżku chory, blady; —
— „Czy nie wstaniesz? z processyją
Idą księża i gromady?“

„Jam tak chory matko moja“
Odrzekł blady syn powoli —
„Myślę tylko o umarłéj —
Chore serce tak mnie boli.“ —

„Wstań, do Kewlar pójdziem razem
I rożaniec zabierz z sobą —
Matka Boska serce zgoi,
I zlituje się nad tobą.“ —

Kolonją po nad Renem
Płyną z śpiewem fale ludu,
I chorągwie wieją górą
Ku wsławionym miejscom cudu. —

Po za ludem matka idzie,
Wspiera syna zasmucona,
I śpiewają z ludem razem:
„Bądź Maryo pochwalona.“

II.

Na Kewlarze Matka Boska
W najpiękniejszéj dziś sukience; —
Z prośbą, modłem ludzie chorzy
Wyciągają do niéj ręce.

Chorzy ludzie — ludzie biedni
Proszą ulgi w bolach, w męce,
I w ofierze niosą Pani
Nogi z wosku — z wosku ręce.

Matka wzięła wosku trochę
Ulepiła serce z niego —
„Ponieś synu Matce Boskiej,
A uleczy z bolu twego!“ —

Syn wziął serce, westchnął smutnie,
I przed ołtarz je przynosi,
I z wielkiemi w oczach łzami
Tak Maryi Panny prosi:

„Przesławiona Matko Boska,
„Łask wszelakich źródło Boże,
„O Królowo nieba, ziemi
„Tobie boleść mą przedłożę.“

„W Kolonii sławnem mieście,
„ Gdzie kościoły wielkie stoją

„W Kolonii sławnem mieście
„Tam ja mieszkam z matką moją.

„Obok nas mieszkało dziewczę —
„Dziś w cmentarnéj śpi ustroni
„Dar mój przyjmij, o Maryo,
„Uzdrów serce chore po niéj.

„Uzdrów, a ja duszą całą,
„Co wdzięcznością przepełniona,
„Będę śpiewał wieczór, rano,
„Bądź Maryo pochwalona.“ —

III.

W izbie chory syn i matka
Zalegają we śnie łoża —
Jasnym blaskiem otoczona
Schodzi ku nim Matka Boża.

I nad chorym pochylona
Ręką serca się dotyka, —

Na młodzieńca patrzy słodko,
Uśmiechnęła się i znika. —

W śnie widziała wszystko matka;
Lecz zobaczy więcej jeszcze —
Niespokojna ze snu wstaje —
Psy tak wyją — wiatr szeleszcze. —

A na łożu rozciągniony
Syn jedynak już nie żyje —
I na blade wargi jego
Ranna zorza światłem bije —

Matka ręce załamała,
I nad synem pochylona,
Smutnym głosem cicho śpiewa:
„Bądź Maryo pochwalona.“

Z UHLANDA.

POSTANOWIENIE.

Ona tą dzisiaj pójdzie doliną —
Dziś na odwagę zdobyć się muszę —
Czegóż drżę zawsze przed tą dzieciną,
Co tak anielską, dobrą ma duszę? —

Tak śmiało ludzi wita ją wiele,
Ja tylko jeden niepewnym krokiem
Mijam ją w ziemię patrzęc nieśmiele,
Bojąc się spotkać z jéj cudnym wrokiem.

Kwiaty, co za nią główki zwracają,
Zielone drzewa i śpiewne ptaki

Mogą jéj mówić, że ją kochają —
Ja tylko jeden nieśmiały taki. —

Nieraz się głośno skarzyłem w nocy
Skarzyłem Bogu, gwiazdom na niebie,
A jéj powiedzieć ja nie mam mocy
To jedno słówko choć: kocham ciebie.

Tutaj się codzień przechadza wcześnie,
Więc wyjdę do niéj z za drzew ukrycia,
Powiem, jak nieraz mawiałem we śnie,
Że ona duszą mojego życia. —

Powiem... ach! ona idzie już — Boże!
Nie, dziś powiedzieć będzie mi trudno —
W te się zarośla ukryję w borze
By choć zobaczyć moją przecudną.

MNICH I PASTERZ.

MNICH.

Czemu w tak głuchéj stoisz żałobie
Młody pasterzu pośród tych pól?
Czém i kto zranił tak serce tobie? —
Powiedz — i ja mam w mém sercu ból. —

PASTERZ.

Ty pytasz jeszcze? — Patrz po dolinie,
Po mojéj smutnéj dolinie w krąg —
Na żadnéj kwiatów nie ma drzewinie,
Ni urodzaju nie ma wśród łąk.

O! nie narzekaj — to tylko mrzonka
I twoja boleść i ten żal twój —
Wkrótce zakwitnie kwiatami łąka,
Drzewa się w kwiatów ubiorą rój. —

Lecz moje drzewo — ten krzyż, co szczytnie
Czerni się z dala wśród polnych smug,
Nie zazieleni się, ni zakwitnie,
I konający na drzewie Bóg.

NIEDZIELNA PIEŚŃ PASTUSZKA.

Dzień pański święci się —
Ja tylko jeden wśród tych niw —
Dzwonek gdzieś ranny dzwonił śpiew. —
Znów cicho w koło mnie. —

Usta pacierzem drżą —
I mnie tak błogo — mnie się zda,
Że tu aniołów klęczą sta,
I modły ze mną ślą. —

Błękity w koło mnie —
Urocze, czyste, jakby mi
Roztwierać chciały nieba drzwi; —
Dzień pański święci się.

Spis rzeczy.

I.

MIŁOSNE DZIEJE.

II.

SCHERZO.

III.

OBRAZY I OBRAZKI.

V.

CICHA MIŁOŚĆ

(Obrazek z nad Wisły.)

VI.

Z HAJNEGO.

Z UHLANDA.

OMYŁKI.

					zamiast	czytaj
Str.	80	wiersz	14	z góry	Przylgłęła	Przylgnęła
„	91	„	8	„	piesenki	piosenki
„	94	„	7	„	Pojadą	Pojadę
„	—	„	11	„	położyła	złożyła
„	95	„	3	„	Zmienili	Zmieniły
„	—	„	7	„	siwi	siwy
„	—	„	10	„	w dobie	w téj dobie.